



Adam Lewandowski

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVIII Nr 7(203) Zielów, lipiec 2013

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Kazimierza Burnata, Andrzeja Dębrowskiego, Henryka Gały, Sylwii Gibaszek, Lama Quang My, Kaliny Izabeli Zioły

Andrzej Dębrowski – *Cugow*

Leszek Żuliński – *Książki, książki...*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Dwie poetyki kobiece*

Kazimierz Ivosse – *W tej wielkiej rzece czasu*

Andrzej Bartyński – *Oko i ucho*

Stefan Jurkowski – *Śmietanka i szumowina*

Igor Wieczorek – *Na dnie tajemniczej głębi*

Andrzej Gnarowski – *Czarodziej z doliny Narwi*

Tadeusz Stolarski – *Zatrzymane chwile Jana Stępnia*

Witold Egerth – *Heretyk w postetycznym świecie. Recz o „Krawcu” Tomasa Sobieraja*

Jurata Bogna Serafińska – *Czar białych rękawiczek Luca Ferry*

Barbara Nowicka – *Na wszystko jest czas. Wiersze i życie Adama Lewandowskiego*

Paweł Kuszczynski – *Poszukiwanie wartości*

Roma Jegor – *Czyste, zwyczajne, proste*

Jan Tulik – *Muzyka, mistka i wiersz*

Wydarzenia, Informacje

Kronika

Zapowiedzi

Opinie, Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębrowski

Kronika

Henryk Gała – polski poeta i dramatopisarz obchodził jubileusz 75. urodzin. Urodził się w 1938 roku w Zalesiu koło Gostynia, w Wielkopolsce. Studiował (chemię i filozofię) na uniwersytecie we Wrocławiu. Z tym miastem wiąże się także początek i rozkwit jego twórczości pisarskiej, przede wszystkim poetyckiej. Spośród opublikowanych w tym okresie (1956-1976) zbiorów wierszy szczególne miejsce zajmują: „Żywoć rudego” (debiut, 1962) „Głosy do cienia”, „Biały blues” i „Próby ognia” (wybór), „Księstwo narwiańskie” i „Akademia poetów”. Ponadto w 1988 roku w trzydziestolecie twórczości ukazał się „Pomarańczowy zeszyt” zawierający juvenilia z lat 1956-1958. Lata 90. i ostatnie to: „Lustro doliny”, „Odado – teatr wiersza”, „Drugie pióro pelikana” (wybór), „Dopóki teraz”. Bibliografię jego poezji uzupełniają jeszcze tomiki z lat dawniejszych: „Rozkuwanie ziemi” i „Kłeska zielonego rowu”.

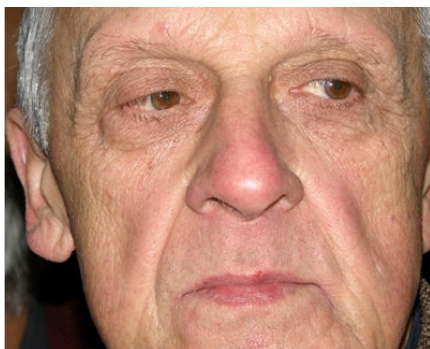


Foto: Andrzej Dębowski

Henryk Gała

Jest też autorem dwóch powieści dla młodzieży: „Piąta strona świata” (wydanej pod pseudonimem Adam Prywer) i „Wyjedźmy do miasta, tato: (jako Adela Drodzowicz). Pisze również dla teatru, m.in. „Nadmiar” (Wrocław 1960), „Tamango” (opera, Wrocław 1974), „Róża wiatrów” (Kazań, 1989), „Czarodziejski kolczyk” (Bazyła 1990). Przez wiele lat pisywał felietony i recenzje teatralne, literackie i poświęcone malarstwu dla wrocławskiego Polskiego Radia, warszawskich Nowych Książek i łomżyńskich Kontaktów. Zdzisław T. Łączkowski napisał o nim: „...Zmysłowość i filozoficzna refleksja nad naszym trwaniem to siła tej liryki, tak bardzo ludzkiej i czystej w swej artystycznej wymowie. Gała nie mądrzy się poprzez swoją poezję, nie poucza lecz wskazuje, zastanawia się i pragnie z człowiekiem rozmawiać, uczyć się także od niego. I na tym polega szlachetność tej poezji...”.

Jego twórczość tłumaczono na język angielski, rosyjski, bułgarski, francuski, tatarski. W Łomży zorganizował Orkiestrę Kameralną i założył Teatr Lalek, którym kierował przez pierwsze 5 lat. Od 1976 roku mieszka w Drozdowie.

Kazimierz Burnat, poeta, translator, publicysta, dziennikarz, animator ruchu literackiego obchodzi 70. urodziny. Urodził się 1 lipca 1943 roku w Szczepanowicach nad Dunajcem. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego i Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Prekursor harcer-

stwa dla młodocianych przestępców, były żołnierz „czerwonych beretów”. Był dyrektorem w ZZSD „Polar” oraz kilku spółkach prawa handlowego.



Foto: Andrzej Dębowski

Kazimierz Burnat

Laureat wielu nagród: Wielki Laur Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej i wyróżnienie Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu za najlepszą książkę poetycką 2006 roku (Przenikanie). Jego wiersze przetłumaczono na wiele języków obcych, m.in. na angielski, ukraiński, wietnamski, chiński, mongolski. Współautor kilkudziesięciu antologii i monografii. Redaktor, autor posłowi lub wstępów około 40. książek. Tłumacz tomów wierszy: z czeskiego, Śladami cieni (Věra Kopecká) i z ukraińskiego, Pogwar dzikiego stepu (Jurij Zawgorodnij).

Opublikował: „W kolejce po” (1995), „Cichnące” (2003), „Przenikanie” (2006), „Am Rande des Erwachens” / „Na skraju przebudzenia” (2007), „Za obzor” („Za widnokręgiem”), Broumov 2008, „Вивернути час на ліву сторону” („Odwrócić czas na lewą stronę”), Kijów 2008, „Wiew przeznaczenia” (2008), „Żar zmierzchu” (2010), „Przenikanie” (2010), „Morgondagens viskning” („Szept jutra”), Szwecja 2011, „Podniebienie niebios” (2012).

Redaktor pism społeczno-kulturalnych „Bez kurtyny”, „Obok” i innych. Prezes Grupy Literackiej „Dysonans”. Członek Związku Literatów Polskich, w którym pełni funkcję przewodniczącego Głównego Sądu Koleżeńkiego. Członek Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

(Więcej o poecie na stronie 12).

70. urodziny obchodzi **Lam Quang My**. Jego prawdziwe nazwisko to Nguyễn Đình Dũng. Urodził się w miejscowości Nghê, w prowincji Nghê An w Wietnamie.

W 1971 roku ukończył Elektronikę na Politechnice Gdańskiej, a następnie wrócił do kraju rodzinnego, gdzie pracował w Centrum Badań Nauki i Technologii w Hanoi. Do Polski ponownie przyjechał w 1989 roku. Jest doktorem nauk fizycznych i pracował w Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk.

Pisze wiersze w języku ojczystym i polskim, przekłada literaturę polską na język wietnamski oraz wietnamską na język polski. Brał udział w licznych przeglądach i festiwalach poetyckich, m.in. w: Warszawskiej Jesieni Poezji, Światowych Dniach Poezji UNESCO, Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu, Krynickiej Jesieni Poezji, Międzynarodowej Jesieni Literackiej Podgórze, produkcji teatralnej „I Miasto przemówiło” (And the City spoke) w Anglii, Polsce i Włoszech, Międzynarodowym Festiwalu Wiosny Poezji w Wilnie

(Litwa), oraz Międzynarodowym Festiwalu „Poeci bez Granic” w Polanicy.



Foto: www.vivaoliva.pl

Lam Quang My

Publikował w polskich pismach literackich: „Poezja dzisiaj”, „Gazeta Kulturalna”, „Literacka Polska”, „Temat”, „Enigma”, „Złote myśli”, „Warsaw Tales” (New Europe Writers Ink), „Znad Wili” oraz w wielu czasopismach, gazetach, stronach internetowych, antologiach poetyckich polskich i zagranicznych.

W roku 2004 opublikował dwa tomy poezji: „Echo” (Polska Oficyna Wydawnicza) i „Doi” („Oczekiwanie”) (Wydawnictwo „Kultury i Informacji” w Hanoi). Jego wiersze były tłumaczone na język czeski – tomik pod tytułem „Zabłąkana pieśń” (2008). Przetłumaczył na język polski (z Pawłem Kubiakiem) „Antologię Poezji Wietnamskiej od XI do XIX wieku” (Warszawa 2010). Jest członkiem Związku Literatów Wietnamskich i Związku Literatów Polskich.

16 czerwca br. w Birmingham, Organizacja Polonijna Na Rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej w Wielkiej Brytanii, „Głos Polskiej Kultury”, przyznała nagrodę specjalną za propagowanie polskiej poezji emigracyjnej, wydawcom czasopisma literackiego „POEZJA dzisiaj”. Nagroda w postaci dyplomu została przekazana na ręce **Aleksandra Nawrockiego**, redaktora naczelnego pisma.



Rys. Barbara Medajska

Tadeusz Stolarski

Zatrzymane chwile Jana Stępnia

Poeta, prozaik, autor sztuk scenicznych. Ma w swym dorobku kilkadziesiąt opublikowanych książek. Mieszka w Strzelcach k. Nałęczowa na Lubelszczyźnie. Zdecydowanie przedkłada życie na wsi nad życie w mieście (w latach 1953-81 mieszkał i tworzył w Kielcach, do lat 90. ub. stulecia w Warszawie). Na wsi osiągnął wewnętrzną harmonię, spokój ducha. Jest bowiem – jak sam często mówi – człowiekiem natury. Kocha przyrodę, która go wycisza, dodaje sił do twórczego działania. Poprzez świat przyrody dostrzega pełniej człowieka we współczesności.

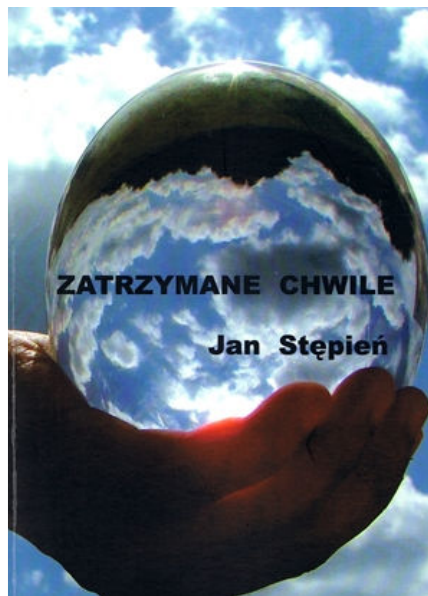
Jan Stępień jest pisarzem wszechstronnym i nader współczesnym. Wypowiada się w różnych rodzajach i gatunkach literackich na tematy z „życia wzięte”. Bliskie mu są krótkie opowiadania. Nie są to opowiadania w klasycznym znaczeniu, do których przyzwyczaili nas wielcy pisarze, choćby z okresu pozytywizmu. To miniatury prozatorskie. Zaledwie kilku- czy kilkunastozdaniowe. Cechuje je maksymalna zwięzłość, owe przybosiowskie „najmniej słów”. Ta forma wymaga zdolności syntetycznego ujęcia tematu, zamknięcia go czasem zaskakującą puentą. Pisarz jest uzdolnionym autorem właśnie małych form prozatorskich, wręcz mistrzem miniatur. Udaje mu się w tej trudnej formie zapisać wiele spostrzeżeń, obserwacji i zachowań ludzi w połączeniu z własnymi przemyśleniami. Dał już tego dowód w dwóch poprzednio wydanych zbiorach – *Smak zdarzeń* (Warszawa 2005) i *Okruchy dnia* (Warszawa 2008).

W 2013 roku ukazał się kolejny zbiór miniatur prozatorskich pt. *Zatrzymane chwile* (tytuł liryczny, nostalgiczny, wspomnieniowy, zachęcający do sięgnięcia po ów zbiorek!). To zapis owych „okrucich dnia”. Pisarz buduje swe opowiadania z zasłyszanych wypowiedzi, z rozmów ze znajomymi lub zupełnie przypadkowo spotkanymi ludźmi. Układa te słowa jak puzzle na planszy. Wydaje się, że czyni to bez większego wysiłku, co świadczy o sztuce opanowania przez niego tej formy artystycznej wypowiedzi.

Niektóre z miniatur rozpoczynają się od zwrotu skierowanego do autora: „Panie Janie”. Kto je wypowiada? Rozmówca pisarza – w wielu przypadkach konkretny, znany autorowi. Są to pogawarki Pana Jana a to z sąsiadem Marianem, a to z kierowcą taksówki Wojtkiem, a to z przyjacielem Tadeuszem, a to z przechodniem na ulicy, z kuracjuszem spotkanym w parku, pasażerem w pociągu. Ale nie tylko. Także z Marią. Kim jest Maria? Żona pisarza – prof. zw. dr hab. Maria Szyszkowska, filozof, wykładowca akademicki, autorka wielu prac z dziedziny filozofii, pra-

wa, polityki, kultury i człowieka, która jest Jego Mużą.

O czym są te rozmowy? Nie będę streszczał kilkadziesiątu miniatur (93!), które wszystkie razem i każda z osobna zasługują na uwagę. Najlepiej je przeczytać. Co by jednak nie powiedzieć, dotyczą one spraw codziennych. Zbiorek *Zatrzymane chwile* to studium pisarza nad życiem, tym zwykłym, dziejącym się tu i teraz. W miniaturach przegląda się rzeczywistość. Bywa, że nie zdajemy sobie sprawy z dziejących się wokół nas zdarzeń, które pokazuje nam pisarz w tych krótkich opowiadaniach. A ileż z tych zdarzeń nas irytuje, niepokoi, których jesteśmy świadkami, a nawet uczestnikami. A ileż tych zdarzeń uznajemy za błaha, a które niejednokrotnie utrudniają nam życie. Ktoś musi je wskazać. Kto? Pisarz, który w tym przypadku nie ucieka się do fikcji literackiej.



Oto kilka zdarzeń wybranych przypadkowo z tomiku *Zatrzymane chwile*. Rozmówca Jana narratora-autora irytuje się, „że koszt budowy jednego kilometra autostrady przez polskie firmy to ponad czterdzieści milionów złotych”, gdy tymczasem Chińczycy taki sam odcinek autostrady wybudują za połowę mniej (*Autostrada*), że każdego roku drogowcy latają dziurę w drodze, a dziura pojawia się ponownie w tym samym miejscu po jakimś czasie (*Asfalt*), że sędziowie piłkarscy powinni karać zawodników za ryszotkowy język (gdyby karali, „wiele spotkań kończyłoby się przed czasem z powodu braku zawodników na boisku”, *Kartki*), że księża będą modlić się, by nasz bokser Adamek „obił głę-

swojemu rywalowi?!” (*Kapłani i Adamek*). Rozmówca Pana Jana dziwi się też, że w nałęczowskim parku wybudowano okazały szalet i że w tym niewielkim miasteczku (w Nałęczowie) jest straż miejska, zajmująca „się głównie przeganianiem starsuszek, które sprzedają pietruszkę, dorabiając w ten sposób do nędznej renty”.

W niejednym opowiadaniu narrator-pisarz wiedzie dyskurs z Szaloną Marią. Nie są to długie rozmowy, na przykład na tematy filozoficzne czy polityczne. Wystarczy zdanie lub dwa, jakieś wtrącenie rzucone nawet mimochodem. Tych dwoje rozumie się nawet bez słów. Zachęcam czytelników do przeczytania takich miniatur, jak *Z Marią o trzeciej nad ranem*, *Teatr Marii*, *Pani Maria* („wiele problemów pani Marii bierze się stąd, że jest za dobra dla ludzi(...). Jest dobrym człowiekiem (...), ale niesamowicie naiwnym. Idzie do ludzi z sercem na dłoni”), *Zima Marii*, *Ciepła noc*, *Nasze koty*, *Mewa*, *Brzoza*, *Rozmowy*, *Książka o Marii* (ostatnio wymienione opowiadanie powstało na kanwie rozmów dr Anny Krynieckiej z prof. Marią Szyszkowską na temat książki o Jej filozofii).¹

Kilka ciekawych spostrzeżeń zawarł autor w opowiadaniach odnoszących się do ludzi twórczych. Oto jeden z nich „wychudzony i lichy ubrany” tanio sprzedaje złote myśli. By choć zarobić na kawałek chleba. Narrator-poeta kupuje dwie myśli: „Gdy jesteś smutny, ciesz się, bo bez smutku nie ma radości”, „Rewolucja jest drastyczną i przyspieszoną formą ewolucji” [*Złote myśli*]. Oto współcześni poeci żyją w osamotnieniu, odtrąceni przez wszystkich. („Nikt ich nie chce. Politycy przecież nie czytają wierszy. Natomiast tak zwane społeczeństwo woli oglądać w telewizji seriale. (...) Ci mniej wytrwali (poeci – T.S.) zdradzają współczesną poezję i wybierają tak zwaną prozę życia”). A Pan Jan z Marią Szaloną chętnie oglądają serial *Świat według Kiepskich*. W tym serialu „można się doszukać wielu aluzji do naszych kompleksów, przywar, fatalnej polszczyzny, nie mówiąc o naszych politykach” (*W mordę jeża!*).

Pisarz jest człowiekiem natury. Dla niego drzewo jest nie tylko drzewem, kot czy pies nie tylko zwierzęciem. Od niego wielu czytelników mogłoby się nauczyć „ludzkiego” stosunku do świata przyrody. Niejedną uwagę na ten temat zawarł w swych miniaturach (*Drzewa*, *Dusza* („zwierzęta tak jak ludzie – umierają a nie zdychają. (...) Pytam, skąd wie (rozmówca poety – T.S.), że zwierzęta nie mają duszy?”), *Spacer z Gapiem*, *Kot*, *Niedź-*

(Dokończenie na stronie 4)

Zatrzymane chwile Jana Stępnia

(Dokończenie ze strony 3)

wiedzie, Miłość i nienawiść, Mewa, Motyl, Brzoza, Nasze koty).

Jan Stępień interesuje się zjawiskami pararnormalnymi. Nie odnosi się sceptycznie do snów, istnienia światów równoległych. Uważa, że jeśli czegoś nie możemy dotknąć, czegoś nie widzimy, to wcale jeszcze nie oznacza, że tego czegoś nie ma. W zbiorze jest wiele miniatur, które dotyczą tej tematyki. Pisarz jest zafascynowany tym światem nierealnym, istniejącym – jego zdaniem – obok realnego. Dla przykładu wskażę opowiadanie *Titanic* („kilkadziesiąt osób, które kupiły bilet na rejs „Titanikiem”, nie popłynęło, bo właśnie przyśniła im się ta katastrofa”), *Cienie* („Cienie zmarłych, których kochaliśmy, przychodzą do nas i patrzą spojrzeniem wiecznym. Ale my nie widzimy cieni, gdyż nasze oczy dostrzegają jedynie świat rzeczy. [...] Wystarczy im, że są tuż obok. Przecież prędzej czy później dołączymy do nich i będziemy przychodzić do tych, którzy nas kochali”), *Judasz, Skrzypek na dachu* („Był to skrzypek, który wyszedł z obrazu Chagala i nie miał się gdzie podziąć”), *Marzenie* („Kiedy jego życie dobiegało kresu, żegnając się z najbliższymi, powiedział cichym głosem: – Szkoda, że nie byłem ptakiem! Po chwili jego dusza wstąpiła w ciało nowo narodzonego orła”).

W kilku końcowych miniaturach pisarz przywołuje znane nazwiska nieżyjących twórców ze świata kultury, sztuki, literatury i z niektórymi rozmawia, co trzeba uznać za świadomy zabieg artystyczny. Kogóż to ożywia na kartach swych miniatur? Choćby Wojciecha Siemiona, tragicznie zmarłego aktora, który „był mistrzem życia i zarazem sztuki aktorskiej”, Piotra Kuncewicza, który „był łagodnym krytykiem. Pomagał (młodym pisarzom – T.S.) dobrym słowem i zawsze podkreślał, że dobry poeta pisze dobre wiersze, ale również dobrze je czyta”, Cezarego Staniszewskiego, który „spalał się do cna, tworząc ulotną sztukę działań”, Stanisławę Zawiszańkę, aktorkę, dziś mało znaną i prawie zapomnianą, Jurka Fronczyka, poetę o „słowiańskiej duszy”, Edka Łakomca, plastyka, który „był świadkiem pogromu kieleckiego”, Fiodora Dostojewskiego, w którego książkach jest zakochany (mimo że „za dużo w nich nędzy, za dużo upokorzenia”), Stefana Żeromskiego, który woli pozostać na pomniku w kieleckim parku niż spotykać się z miejscowymi pisarzami i rozmawiać z nimi o sztuce.

Myszę, że ten zbiorek opowiadań spotka się z zainteresowaniem wielu czytelników. Do sięgnięcia po tomik zachęca też kolorowa okładka, na której widnieje szklana kula zatrzymana przez wrótkę (chyba dobrą?!), no i

sam autor uśmiechający się tajemniczo spod sumiastych bielejących wąsów. A może dobrotnie i z wyrozumiałością dla postępów i zachowań człowieka w dobie komercjalizacji i przewartościowania wielu pojęć? Jego głos i podobnie jak on myślących twórców, powinien być bardziej słyszalny i docierać do coraz szerszych kręgów społeczeństwa.

Na marginesie tej recenzji dodam, że Jan Stępień jest również znanym rysownikiem i rzeźbiarzem. Swoje prace wystawiał w Polsce i za granicą.

Tadeusz Stolarski

Jan Stępień, *Zatrzymane chwile*, Wydawnictwo Ewanart 2013, Pruszków, str.128

¹ *Filozofia Marii Szyszkowskiej*. Księga dedykowana pod redakcją Anny Krynieckiej, Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2012.



Kalina Izabela Ziola

* * *

mrugnąłeś
i rzęsami
zmiotłeś ze świata
wszystkie motyle

nie otwieraj już oczu
pustka cię oślepi

Obraz

jestem jak czyste płótno
na którym
możesz namalować
wszystko co zechcesz

trwały ślad

pozostanie nawet
gdy już odejdziesz

* * *

to co pomiędzy nami
jest jak ruchome piaski

wyszeptane kiedyś słowa
w blasku słońca
stają się przejrzyste
znikają

przybywa pustych dni

każdy z nich jak kamień
dokładany
do coraz wyższego muru

ogień przygasa
jeszcze tylko
trzy płomyki
pełgają w ciemności
lśniąc czerwienią i złotem

ruchome piaski
zasypują czas

Moje zaduszki

zapalam kolejny znicz
by oświetlić
jeszcze jedno puste miejsce

a przecież
nikt nie umarł

* * *

śliski jedwab pięści skóre
wywołując dreszcz

tylko jedwab
i chłodny dotyk wiatru

bezimienna gwiazda
w milczeniu gasi dzień

kolejny dzień
bez ciebie

A może...

napisz
o wszystkim
co mogło się nam przydarzyć

o chwili
zawieszanej
w nagle zatrzymanym czasie
gdy nie liczy się już nic
oprócz

o pełnym obietnic wieczorze
który nie zdążył zakwitnąć
czułym porankiem

o śladach pocałunków
na moich stopach
i o słowach
które

o spacerach
po zaśnierzonych ulicach
kiedy ręce i usta
są bliżej niż

napisz wiersz

MNIJ WIĘCEJ (101)



Foto: Zofia Mikula

Książki, książki...

Przeprowadzałem się. Wszystko to byłby drobiazg, gdyby nie te książki. 43 niemałe kartony z książkami. Księgozbiór wcale nie rekordowy, ale też według przeciętnej „normy polskiej” uważany za spory. Pakowanie i rozpakowywanie tych książek to była nie tylko ciężka robota, ale też podróż sentymentalna w czasie. Ileż nazwisk uważanych dziś za cenione, ileż tytułów „kultowych” i tych, które meblowały moje życie nowymi, ważnymi wartościami... No i ta encyklopedia, czyli dział księgozbioru będący kompendium historii literatury, sztuki, filozofii...

LESZEK ŻULIŃSKI

Branie każdej książki do ręki budziło jakieś wspomnienie, czasami zdziwienie („o, to ja to mam?, o! więc to tu leżało?”), ale w sumie był to film z własnego życia i emocji, jakie towarzyszą każdemu z mojej branży.

Najdłużej przytrzymywałem w rękach książki zmarłych kolegów. Niektórzy z nich są mało znani, ale ja do dziś żyję w przekonaniu, że gdyby żyli i pisali, wyszliby z cienia. Np. mój kolega z jednego roku akademickiego, Andrzej Milik-Wiśniewski (1949-1990), prozaik o „korzeniach hłaskoidalnych”, albo Krzysiu Sieniawski (1951-2001), oryginał i outsider, poeta, autor kilku tekstów piosenek też już nieżyjącego Przemysława Gintrowskiego. Takich zapomnianych nazwisk „mi się uzbierało”. Mam np. książki Jana Krzysztofa Adamkiewicza (1952-1986), Janusza Leppka (1954-1999), Kazimierza Furmana (1949-2009), Marka Obarskiego (1947-1997). To byli świetni autorzy! Z nimi wszystkimi byłem w przyjaźni, w bliskiej z Leppkiem i Sieniawskim. Ze starszego pokolenia moi znajomi, nieżyjący już poeci, to np. Gąsiorowski, Haraśymowicz, Jerzyna, Nowak, Śliwiak... Ich też czule głaszczę po grzbietach ofiarowanych mi książek. Z mentorów i „nauczycieli”, którzy

przez wiele lat mi towarzyszyli, najbardziej odczułem stratę Andrzeja K. Waśkiewicza, którego mam prawie wszystkie książki... I mógłbym tak długo jeszcze wymieniać i wspominać. Pozostały dedykacje na książkach. I pamięć. I szacunek.

Brałem do ręki również wiersze i prozę kolegów, którzy żyją, choć zamilkli. Najbardziej szkoda mi zamilczenia Andrzeja Lenartowskiego z Kielc. Ależ to postać i talent! Złamał pióro? Nie wiem, nie wiem, liczę na to, że jeśli sam się nie odezwie, to ktoś go kiedyś przywróci do naszych lektur. Podobnie stało się z Tadeuszem Wyrwą-Krzyżańskim z Piły, którego unieruchomiła choroba.

Wracało także podczas tej przeprowadzki – jak bumerang – pytanie: co stanie się z tymi książkami po mojej śmierci? Myślę, że one też śmierci doznają i to będzie ta „kropka nad i”. Doznają, bowiem z każdej epoki pozostaje tylko kilka najwybitniejszych nazwisk. My tworzymy literacką epokę oraz jej życie literackie, ale nieśmiertelni pozostają klasycy.

Cymelia! Cymelia nieliczne posiadam – np. wydanie „Fausta” Goethego z 1854 roku, pochodzące jeszcze ze zbioru moich dziadków. Albo kilka antologii przedwojennych. Albo pierwszy numer „Twórczości” z roku 1945. I jest jeszcze dokumentacja – rękopisy i maszynopisy pisarskie, korespondencja, czasami bardzo obfita, jak np. z zapomnianym dziś, choć przecież żyjącym, wspomnianym wyżej Tadeuszem. A więc na tych regałach mam w papierowej marynacie żywych i bliskich mi ludzi, przyjaciół. Co się z tym stanie? Na razie książki zmieniają miejsce zamieszkania... Ale co potem?

Kolejna grupa książek to słowniki, encyklopedie, leksykony. Wciąż potrzebne, wciąż przydatne. Chodzącą encyklopedią nikt nie jest, więc cóż byśmy bez tych książek zrobili?

Zazdrość! Zazdrość czuję zawsze, gdy biorę ze swego zbioru do rąk tzw. „dzieła wiekopomne”, i to różnego typu. A więc trzy tomy klasyków romantycznych – Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego – wydane w roku..., antologię poezji młodopolskiej w latach dwudziestych, np. teorię literatury Sławińskiego i Głowińskiego, „Agonię i nadzieję” Piotra Kuncewicza czy biografię Miłosza Andrzeja Franaszka. Także kultowe książki Herberta, Miłosza, Różewicza, Szymborskiej – czyli kanon mojego czasu. Ale to dotyczy także wielu tomików poetyckich i prozy pisarzy dnia dzisiejszego. Mam też książeczki niepozorne, małe, cieniutkie, a będące absolutnymi cymesami, jak np. Adama Bednarczyka „Taka cisa w ogrodzie”. Bednarczyk był nauczycielem z Iłży, znał osobieście Leśmiana (oraz jego ilżecką rodzinę Sunderlandów i – a jakże! – Dorę Leberthal), był w malinowym chruśniaku i napisał wspomnienie bezcenne jako relacja „naoczego świadka”. Napisał je pięknie!

Książki w zasadzie nie umierają. Żyją w bibliotekach. Choć przed bibliotekami –

naszymi domowymi i tymi wielkimi – wielka rewolucja. E-booki i audio-booki w końcu opanują świat, będą dla przyszłych pokoleń czymś naturalnym, tym samym, czym dla nas od wieków książka papierowa. Nie załamuję nad tym rąk, jak niektórzy, bowiem to już nie my będziemy się do tych książek przyzwyczajać. Dziś nawet żałuję, że zamiast 43 kartonów, ciężkich jak jasna cholera, nie dźwigam trzech kartonów z nośnikami elektronicznymi. Ważniejsze jest co innego: to, byśmy czytali, byśmy mieli swoich ulubionych autorów, ulubioną prozę i poezję, i byśmy swym kultem do naszych lektur zarażali następnego pokolenia. Będzie trudno, świat się zmienia, ale jeremiady głoszące, że upadnie literatura i znikną czytelnicy, to wieszczenie nieprorocze. Potrzeba sztuki tkwi w człowieku i z niego wynika. Jeśli to się zmieni, będzie to znacząco, że doznaliśmy mutacji gatunkowej. Nie doznamy. Przeprowadzamy się w różne miejsca, lecz wciąż przenosimy w nie siebie!



Sylwia Gibaszek

* * *

masz jeszcze odrobinę pyłu
kilką godzin
kilkaset minut
smsów
moje dwa długie włosy na poduszce
jeden pociąg o świetle
wgniecenie
na czerwonej pościeli
co milczy wymownie
do twojej
nie
obecności

jeszcze masz we mnie
do końca nie wystudzoną
przeźren
moje myśli
w których jesteś
pasażerem „diabelskiego młyna”

jestes o krok
za bramą
(mojego serca)
dwa i pół milimetra nad przepaścią

ale masz

tę ostatnią
pełną nadziei i nienasyceń
spragnioną
gotową na rebelię
i odwrócenie biegunów Ziemi
najdłuższą w tej galaktyce

Kazimierz Burnat

Namysł

I

To było tak dawno
już nie wie co zmyślone
co prawdziwe

wtedy podając ci rękę
(raczej dla zabawy)
nie mogła przewidzieć
co może się zdarzyć
wraz z ciepłem dłoni
poczuła wewnętrzny ból
najdokładniej zapamiętany
z owego wieczoru

odtąd wypatrywanie na niebie
koloru twoich oczu
rozbijało wyobraźnię
w ten sposób
użyłyś powierzchowności
jej marzeniom
idealizującym cię dogłębnie
daremnie szuka
u ciebie wad
i powodów do zagniewania

z czasem wszystko tłumaczy
utrata
pasa bezpieczeństwa

II

To było tak dawno

jednym dotknięciem ręki
wszczepiłaś we mnie niepokój
od tego czasu
wszystko co mnie otacza
kojarzy się z tobą
niebo ziemia
ludzie

daremnie szukam wśród nich
choć cząstki ciebie –
zapewne ugrzęzłaś
w innej przestrzeni mentalnej

trzeba jednym dotknięciem ręki
oddać ci pas bezpieczeństwa
jednym dotknięciem
dwu rąk
zamknąć wieko ułudy
a całą winę
wziąć tylko na siebie

Serce

...nie pozwól, aby inni marnowali
ci życie bardziej, niż to konieczne.
(Jonathan Carroll)

Dwa zawałowania –
(do czterech razy sztuka)
głęboki śpiew pozorny luz
lekkie zwilżenie ust
twoje wzruszenie
jej wrażliwość uskrzepiona

w kółko sprawa za sprawą
sms po esemesie
komórka
nieruchomość
uskrzydłająca obojętność

jeszcze tylko spacer
szlakiem spienionych fal
z aniołem
taneczne do widzenia
burtą przysłonięta perspektywa

obym mógł odpływ
zastąpić przyplływem
ufortyfikować czas

moje cenne złudzenia

Otwartość

Niechcianym uśmiechem
haftujesz wrażenia
obce rzeczywistości

na dźwięk kołatki
klękasz przed konfesjonalem
myśli wywołują popłoch
jak garść ziaren
rzuconych w stado ptaków
ale wyznanie win
uprzejrzenia prawdę
rozkoszą nasycenia
z nawróconego źródła

nie wysuszaj łez
wsączonych w radość
słońce wplecie je w cień

tryumfuj duszo
leć

Smakowanie

Czysta kartka papieru
wciąż nieprzyjazna
wyjałowiona ze złudzeń
jak ściana
bez okien i drzwi
jednak z obcą pewnością siebie
smakuje mi
ponad zdolność pojmovania

omotany ostatnią
piwniczną pajęczyną
wdeptuję kielki nasion
w zbutwiałe jabłka

błogie uniesienie
dziecięcą melancholią
lecz wena nietrwała
jak słomiany płomień

dziurawa harmonia

Henryk Gała

Chwila nieustająca

Dwie kawki
w pogoni za sójką
przelatują codziennie przed oknem
kwadrans po dziewiątej.

Nie czekam na nie,
zerkam tylko na zegar.
Sprawdzam, czy idzie,
choćby niedokładnie.

Taka sobie
paniczna chęć życia.

Kto nosi w sobie

To miejsce nazywa się miasto.
Imię, znak na świata mapie,
ale najmniejsze, jest samoświatem.
To miejsce nazywa się miasto.

To miejsce nazywa się dom,
ulica, drzewo i przez park ścieżka.
Kościół i cmentarz, kirkut i cerkiewka.
To miejsce nazywa się dom.

To wszystko nazywa się miejsce,
które z tobą przez życie wędruje.
Dobrze mieć takie szczęście,
To wszystko nazywa się miejsce.

Twoje okno, drzewo i chmura,
twoi bliscy i nieznanymi jeszcze,
twoje niebo, dolina i góra.
To wszystko jest twoje miejsce.

Miejsce

Nazwałem je księstwem.
Prawem do tego było, że jestem poetą
i jako poeta, na tej ziemi znalazłem gościń.
Był to gest suwerenny obustronnie.
I bezinteresowny,
wynikający z wzajemnego zaufania

odniesienia
korzyści artystycznych.
Nazwałem tę ziemię Księstwem

Narwiańskim.
Bo Narew, ta rzeka, otwarła moje oczy, moje
uszy i serce,
moją wyobraźnię w taki sposób, że
zapraǳiałem

żyć nad nią.
Mieć tutaj swoje miejsce. Tak, jak ci, którzy
mają je od pokoleń.

To ci ludzie, kiedy uświadamiają to sobie,
wstępują do wspólnoty miejsca.
Należą do księstwa wokół rzeki i miasta,
zbudowanego nad owieczną przepławą.
Jestem jednym z nich,
jednym z żyjących w tym miejscu.
Szukam słów, abyśmy mogli o nim wspólnie
mówić.

Prośba

Bracie mój Klonie,
siostrzo, wonna Daglezjo,
matko góro Ziemi i Wiatru
a nad nią ojciec mój Czasie, przechodzący
obok,
ale nie całkiem mimo – dajcie znak

Głuchy jestem,
głuchy i oślepy.
Głuchy, oślepy i bez czucia.
Dajcie znak, że jestem.
Przyjmijcie mnie,
kamień między waszymi korzeniami.

Dom

Jest taka cisza,
może gdzieś nad oceanem,
gdy wichry się wstrzymują nagle,
by zawrócić

Jest takie światło,
może gdzieś między drzewami,
kiedy noc przystaje, aby minąć

Jest taki zapach,
może jedynie posmak woni,
odkrytej gdzieś na snu wieżyczce
albo w podróży

I bywa trwoga,
z portretów obcych, listów bez nadawcy,
przegranych zwycięstw,
by nic nie budować

I jest nadzieja,
w glinie i piasku, w sękach drewna,
na takie cisze, światła i zapachy
Na święto gwiazdy i noc świętą,
na żniwo dobre i na pogrzeb własny,
wszystko bez strachu
Wszystko u siebie.

Okno

Nasze sosnowe wzgórze wygląda jak boża
łyżka,
którą Pan wypieprza tę swoją wieczność.
Albo jak zatoka łąki
I powietrza oko, z którego patrzy
poza śmierć.

Lam Quang My

Poza domem

*Wychodziłaś, jak wieczór wychodził,
wywabiałaś wszystkie ptaki z ogrodu.*

Che Lan Vien

Jesień powróciła do Hanoi, ale nie zżółkły
liście drzew. Słońce. Niebo jednostajnie
niebieskie.

Pociąg chciał wieźć jednocześnie
nas dwoje, ale jedną duszę.

Nasza miłość jest jak jesienne niebo,
czas rozłąki jest jak chmury,
nasza miłość jak ten pociąg,
przewozi równocześnie spotkania i rozstania.

Czy od czasu naszego rozstania
usłyszałaś podmuch wiatru,
echo mojego głosu,
niedokończone wiersze,
niedokończone pieśni...
Wychodziłaś, gdy wieczór wychodził...
Wokół mnie nie ma nic,
co unosi kolory życia,
zielone drzwi już zamknięte,
nie ma światła, nie ma piosenki,
moja dusza z tobą krok po kroku
na dalekich drogach.

Wychodziłaś, gdy wieczór wychodził...

Z języka wietnamskiego przełożyli:
Autor i Paweł Kubiak

Wracałaś

Wracałaś, jak poranek wraca
Che Lan Vien

Dzisiejszy poranek nie jest darem wiosny,
ale wokół jest dużo dźwięków wesołych
piosenek

oraz użyźniający, smaczny jak
mleko matki wylew rzeki.
Kochanie, wracaj do mnie,
pokonaj kawałek drogi do marzenia!
Choć wiemy, że to łatwizna,
musimy zebrać gotowy już plon.
Tyle czasu byliśmy w oddaleniu – teraz mamy
siebie,

łatwiej wytrzymać to życie...
W jasności poranka, czy w czerni nocy
jednakowo świeci ogień naszych dusz.
Myślałem, że nigdy nie ośmielę się
powiedzieć ci, że kiedy znalazłem się
w czarnych momentach myśli o tobie
przywodziły kwitnące kwiaty i niebieskie
niebo,

słyszałem śpiew ptaków...
Na drodze do miasta Hanoi
skończyła się pora kwiatów sua*,
wróciłaś i one jeszcze kwitły,
fale na jeziorze Tay** nie przybijały
pojedynczo do brzegu, łodyżka drzewa

w ogrodzie botanicznym drżała z radości.
I wróciłaś, a dla mnie to wszystko,
wszystko wróciło do mnie.

* popularne w Hanoi pachnące kwiaty letnio-jesienne
** Największe jezioro w Hanoi

Z języka wietnamskiego przełożyli:
Autor i Paweł Kubrak

Echa marzeń

Odbija się fala od nieforemnych skał,
biała piana po niej zostaje.
A samotność wnika w me serce,
wszystkie światła tęsknoty w nim się
gromadzą.

Nowa fala miesza pianę i znowu znika,
a tęsknota serce nie puszcza.

Siedzę na wyspie jak w spodku
kołyszącym się w oceanie leż.
A lzy nigdy nie wysychają.

Wyspa mi świadkiem,
jak samotność przepelnia moją duszę,
że nic już nie może przyjąć,
ani dać też nie potrafi.

Wyspa jak łódeczka rzucona ze mną w ocean,
płynie w miejscu, brzegu dosięgnąć nie może.
Uwięziony żeglarz sadzam na grzbiecie fal
moje pragnienia i wysyłam ku brzegom,
brzegom powracają jedynie echa marzeń.

Majorka, jesień 1999
Przełożyli: Autor i Edward Osiecki

Z podróży do Łodzi (Powroty po latach)

Nie widzę morza, ale widzę Łódź.
Błysk kołyszący się w czyichś oczach
Jest zwierciadłem wiosennego nieba.

Aura muzyki i śpiewu rozpala
Tęsknotę do minionych lat.
Patrzę i nie widzę, co dzieje się wokół
Oszołomiony wspomnieniem minionych
wiosen.

Gdzie podziały się tkaczki?
Czy wciąż snują się serdeczne nici?
Czy przetrwały ich czółenka?
Czy na czółenkach są jeszcze ślady ich rąk?

Tkały także materiał swojego życia.
A czas płynął... Jaki jest teraz kolor materiału?
Na osnowie szczęścia
Kładły gorzki watek życia.

Nie widzę morza, ale widzę Łódź,
Słyszę fale serca bijące o brzeg.
W oddali widzę żagiel – dokąd poniesie on
wiatr?

Łódź, kwiecień 2000
Z języka wietnamskiego przełożyli:
Autor i Paweł Kubiak

Witold Egerth

Heretyk w postetycznym świecie

rzecz o „Krawcu” Tomasza Sobieraja

„Kto posługuje się stylem właściwym swojej epoce, nie wyskoczy poza nią, zostanie w swoim miejscu i czasie” – pisał Czesław Miłosz w *Ogrodzie nauk*. Jednak trzeba niemałej odwagi i sporej dawki testosteronu, by lekceważyć artystyczną modę i tworzyć niezgodnie z obowiązującą konwencją.

Krawiec Tomasza Sobieraja to nieczęsty w dzisiejszej literaturze przykład klasycznego ładu i rygoru, precyzyjnego strumienia myśli, jednocześnie to utwór, w którym zacierają się granice pomiędzy opowiadaniem, opowieścią, poetycką, esejem filozoficznym, tekstem krytyczno-literackim i autorskim wykładem z teorii sztuki, a jadowita satyra łączy się z publicystyką i krytyką polityczną. Dodatkowo treści dynamizują cytaty, nie tylko z literatury pięknej, oraz charakterystyczne dla Sobieraja erudycyjne aluzje i imitatywy. Autor nazywa ten utwór poematem dygresyjnym, jednak z powodu niezwyklej intensywności przenikania się form, klasyfikacja rodzajowa i gatunkowa *Krawca* jest niemożliwa; zasadniczo mamy tutaj do czynienia z prozą, jednak zastosowanie podziału zdań na wersy sprawiło, że powstały samodzielne odcinki intonacyjne i wystrzyła się znaczeniowa struktura tekstu; poprzez ten zabieg poeta również narzucił interpretację oraz nadał inną, niżby przysługiwała prozie, rangę słowom, tworząc w ten sposób oryginalny, nowoczesny *poème en prose*, dzieło z jednej strony odrębne od literackiej przeszłości i terażniejszości, ale uważnemu czytelnikowi przywołujące na myśl *Sztukę Poetycką* Horacego, *Beniowskiego* Juliusza Słowackiego czy *Bal w operze* Juliana Tuwima; nawet wielbiciel Allen Ginsberga znajdą w *Krawcu* właściwą amerykańskiemu poecie romantyczną wizyjność usytuowaną obok niewstrzemięzliwej wulgarności.

Fabula *Krawca*, opowiedziana w 10 częściach, na którą składają się m.in. narodziny bohatera, dojrzewanie, czas eksperymentów, czynów męskiej odwagi i zwątpień wrażliwego człowieka, wreszcie powstanie świadomego swojej drogi twórczej artysty, jest pretekstem nie tylko do fascynującej gry z formą, ale także do walki ideowej, do rozważań o filozofii, sztuce, życiu, śmierci, miłości, duszy, Bogu... „W dzisiejszym postchrześcijańskim czy wręcz postetycznym świecie te uniwersalne zagadnienia zostały unieważnione, so-
tematy wstydlive i niemodne, w najlepszym

razie blahe – mówi autor w rozmowie z Januszem Najderem. – Odwrócona aksjologia niszczy także sztukę i dlatego zamiast mądrej, szlachetnej twarzy polskiej literatury mamy gębę zula, dresiarza czy innego pólanalfabety”. Nie są to w tekstach Sobieraja nowe poglądy, ale sposób, w jaki przeprowadził swoją polemikę w *Krawcu* – w IV części, zasługuje na uwagę i z pewnością przysporzy mu zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Sobieraj, podobnie jak jego Mistrzowie (w tym miejscu należy wymienić przede wszystkim Witkacego, Gombrowicza, Miłosa), nie stosuje półśrodków, nie chowa się za plecami zgrabnych metafor, ale tak jak oni staje odważnie do walki, jasno precyzuje swoje poglądy na sztukę, piętnując za poprzednikami powszechną w niej dewaluację wartości, degenerację języka, sprymitywnienie, antyintelektualizm, ucieczkę od metafizyki, wiedzy, wyższej kultury, a przy tym uderza przeciwników (bo nie wrogów przeciż) ich własną bronią – wprowadza do tej części kilku współczesnych krytyków i literatów i pozwala im mówić własnym głosem, czyli tekstami zaczerpniętymi z ich recenzji i utworów. Można nawet odnieść wrażenie, że niektóre wypowiedzi umieszczone w nowym kontekście paradoksalnie zyskały na tym zabiegu i z tekstów krytycznych awansowały do rangi tekstów poetyckich.

Jednak *Krawiec* to, jak napisał znakomity poeta Józef Baran, „nie tylko rozprawa z pseudosztuką, to także frywolny i sokratejski w formie monolog filozoficzno-egzystencjalny o przygodzie człowieka wrzuconego w przypadkowy, ograniczony czas i przestrzeń”. Bohater Sobieraja balansuje na granicy jawy i snu, rzeczywistości i fikcji, konieczności i pragnień. Z naiwnością dziecka cieszy się życiem; jest częścią świata przyrody, którą afirmuje i chłonie wszystkimi zmysłami, nie odgradza się od niej, ale wtapia się w nią, pragnie, być może naiwnie, miłości, prawdy i poznania, co implikuje ciągły rozwój. Zaciera się dla niego granica między życiem a sztuką, chce, jak bohaterowie Witkacego „zostać twórcą samego siebie” – a „inspiracją do niezwykłych myśli, by nie rzec herezji, są lektury”. W swoistym literackim eksperymencie dąży do zrównania się z Bogiem – to oczywiście z jednej strony nawiązanie do wyzywającej postawy Konrada z Wielkiej Improwizacji, a z drugiej hold złożony Mickiewiczowi. Czuje się tu i podziw dla Wielkiego Mistrza, ale i autoironię, bo przecież

bohater Sobieraja rozważa jedynie taką możliwość po to, żeby ostatecznie przestać wątpić i dostrzec doskonałość tego świata, której istnienie wprawdzie zakłada, niby jest jej pewien, ale pragnie absolutnego dowodu. „Zdobyc się na nieśmiertelność, unieść ponad czasem, objąć wszystko jedną myślą” – mówi, a potem przekornie dodaje – „to nie jest takie trudne. Nieśmiertelność mam przecież zagwarantowaną”. Marzy, aby uzyskać taką perspektywę oglądu rzeczywistości, która daje moc zapanowania nad chaosem, umożliwi wypełnienie idealnej formy istotną treścią.

Momentem próby jest spotkanie z dziewczyną. Sobieraj rozgrywa to w dwóch oszczędnych dialogach, nad którymi unosi się atmosfera silnego erotycznego napięcia. Eros katalizuje moce twórcze i jednocześnie niszczyielskie bohatera, który wcześniej zwierza się czytelnikowi: „Często rozmyślałem o życiu i śmierci, szyjąc ubrania (...) Pewnie życie nowych i prucie starych ubrań, ich tworzenie i niszczenie kierowało moje myśli na sprawy ostateczne”. Dziewczyna, której wizyta w pracowni stanowi wyraźną cezurę w życiu krawca, jest jakby materializacją jego sennych marzeń. Czytelnik staje się świadkiem tego procesu przeobrażania się nierealnej, eterycznej postaci w zmysłową, cielesną kobietę, procesu oddzielania się owej zjawiskowej istoty od tego, kto powołał ją do życia i być może sam nie wierzy w możliwość przyobleczenia się własnych pragnień w realny byt, boi się, że „zapłaci gorzki podatek od naiwności”. Dziewczyna na początku wydaje się nie mówić własnym głosem, jest jakby emanacją myśli i wyobrażeń bohatera, by na koniec zyskać świadomość swojej roli i swojej odrębności, „umiem czytać w twoich myślach” – oświadcza w ostatniej scenie, kiedy pojawia się z książką *Źródło wszechrzeczy – malarstwo Gustawa Courbeta* – „i chociaż, jak sądzę, programowo Courbet jest ci obcy, czasem pociąga cię realistyczną treścią”.

Bohater tylko z pozoru jest nikim, nieważnym człowiekiem zanurzonym w przypadkowym, ograniczonym czasie i miejscu, „którego nie uwzględniały nawet najbardziej dokładne mapy topograficzne, zrozpaczone jego prowincjonalnością i bezgraniczną martwością” – miejscu, można by rzec zapomnianym przez ludzi i Boga. Jednak istnieje! Ma wolny, artystyczny zawód, psa, którego kocha, spaceruje po okolicy, wrażliwość na przyrodę, ma też wielkie tęsknoty i marzenia, wyzwolone pod wpływem „heretyckich” lektur.

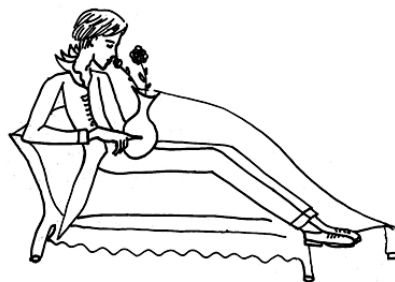
Dowodem, że istnieje, jest świadomość i wola działania, wynikająca m.in. z niezgody na pogrążanie się w „imitacji życia”, z właściwą jej „ironią, bezsilnością, patosem i pustką”. Wierzy, że „tak jak na początku świata światło zabiło ciemność, tak myśl jasna zniszczy pustkę i pozór”. W imię jasnej myśli, mądrości, która „jest i początkiem, i źródłem pisania”, jak to ujął Horacy, Sobieraj podejmuje polemikę z tym, co mu się we współczesnej polskiej literaturze nie podoba, czyli z belkotem półanalfabetów z jednej strony, a z drugiej – z piękną formą klasycznych dandysów, pozbawioną jednak treści i ducha. Wyrazicielem swojej teorii czyni niejakiego Tadka Ćwiartkę, ulicznego menela, któremu inna postać, obecna w *Krawcu*, odmawia prawa do istnienia, uważając, że to „ewidentna pomyłka Wielkiego Planisty”. Ów „ludzki strzęp”, może wbrew pozorom – to najważniejszy dowód na istnienie Boga w tej książce, mówi: „Świat to symulacja stanów potencjalnie tylko doskonałych. Lecz pod skórą rzeczywistości, nieraz piękną jak u młodej kobiety, nieraz pokrytą brudem i pęcherzami, jak moja, drzęmią pokłady olśnień i niespotykanej dziwności, widoczne tylko dla wielkiego poety czy mistyka, niekiedy może dla filozofa. (...) I one, gdy odkryte, mogą uczynić życie znorniejszym. Bo na pewno nie uczynią tego bzdury, pisane przez rzesze wierszokletów, wynoszone na piedestał przez ich kolegów – krytyków, tak jak nie uczynią życia piękniejszym bohomyzy tych, którym się wydaje, że są artystami, bo ukończyli szkołę malarzy”. Tu dochodzimy do zasadniczego poglądu Sobieraja na rolę sztuki, która ma nieść człowiekowi nadzieję, a nie pogrązać go w jeszcze większym chaosie niż ten, w którym żyje. Wydobywanie się z tego chaosu to jak pozbywanie się ciasnego kokonu narzuconych mniemań, sądów i politycznej poprawności, przy jednoczesnej nauce samodzielnego oddychania i szukania własnych rozwiązań – niszczenie i tworzenie, prucie i szycie, śmierć i życie – w takiej właśnie kolejności, tak jakby życie było ukoronowaniem, a może raczej zdezonizowaniem śmierci, nie odwrotnie, życie to zaprzeczenie pustki, letargu, bezwolnego trwania. Takim procesowi poddał Sobieraj swojego bohatera (samego siebie?); mimo wątpliwości idzie on drogą, która ma go w założeniu doprowadzić do zbliżenia człowieka ze sztuką, do połączenia pierwiastka ludzkiego z Boskim, do syntezy formy i treści. „Najwyżej mi się do końca nie uda – zwierza się krawiec – ale przynajmniej będę wiedział, że próbowałem”.

Sobieraj kończy *Krawca* słowami Eliota: „Chodźmy więc, ty i ja,/ Skoro wieczór na niebie rozpostarty trwa/ Jak pacjent odurzony eterem na stole...” Reczywiście po lekturze tego wyjątkowego i, według mnie, bardzo ważnego poetyckiego tekstu jest się oszołomionym. Dzieje się tak za sprawą i wagi poruszanych problemów, i bogactwa rozwiązań formalnych, i brawurowego języka, nie

stroniącego nawet od wulgaryzmów – zjawiska do tej pory w twórczości Sobieraja nieznanego. Nie znaczy to, że twórca elitarny postanowił najtańszym kosztem trafić pod przysłowiowe strzechy, eksplorując pokłady wulgarności czy pornografii, bowiem wspomniana maniera to tylko niewielki, wyraźnie wyodrębniony fragment poematu, do tego o charakterze zdecydowanie satyrycznym, ironicznym i polemiczno-zacząpnym. Sobieraj uczynił tutaj rzecz trudną: posługując się ordynarnym językiem, wydobyl całą jego soczystość, komizm, wręcz nadał mu wielobarwną urodę, dowcip oraz nowy sens i pełny artystyczny wymiar, co w polskiej literaturze (tej przez wielkie L) udało się niewielu. I tak parodia przerosła wyszydzaną konwencję, dowodząc niezbitości, że talent i myśl również z pospolitej materii stworzą dzieło doskonałe.

Pomimo licznych celowych zakłóceń, zamierzonego dysonansu niektórych partii poematu i jego bujnej dygresyjności, całość utworu jest wypowiedzią spójną formalnie i treściowo; rzekłbym nawet, że jest nową „formą bardziej pojemną”, łączącą w sobie traktat o sztuce i filozofii, fabularną, momentami oniryczną opowieść, niekiedy fantasmagorię, głęboką psychoanalizę czy nawet udaną próbę mityzacji rzeczywistości. Jednak historiozofia, jak już wspomniałem, nie jest tutaj ponura jak np. w zbiorze opowiadań *Dom Nadzoru*; pojawiają się w *Krawcu* elementy pogodne a nawet komiczne. Mimo to poecie, a właściwie jego literackiemu alter ego, niezmiennie towarzyszy poczucie obcości, niedopasowania do świata i świadomość zagłady czekającej na ludzi jego pokroju, jednocześnie nie robi nic, by przestać być twórcą dla nielicznych wybranych. Przeciwnie jednak niż we wspomnianych opowiadaniach, nie jest w tej beznadziejnej sytuacji osamotniony ani ta sytuacja nie jest przez to całkowicie beznadziejna. Nadal więc z uporem, godnym Witkacego izoluje się od pospolitej rzeczywistości, wchłaniany przez tajemniczą istność, w której spotykają się Bóg, filozofia i sztuka. Tą istnością jest metafizyka – tak w poemacie obecna, że bez przesady można nazwać jego autora poetą metafizycznym i tym samym zaświadczyć, że wbrew pesymistycznym teoriom Witkacego, sztuka nie umarła całkowicie – jest tylko w letargu, z którego czasem wyrwie ją ktoś tej miary co autor *Krawca*.

Tomasz Sobieraj, „Krawiec”. Editions Sur Ner, Łódź 2012.



Rys. Barbara Medajska

Na wszystko jest czas Wiersze i życie Adama Lewandowskiego

Dlaczego pan pisze? To chyba najczęściej zadawane mu pytanie. I na spotkaniach publicznych i także prywatnie. Zdarzało mu się je usłyszeć od zaprzyjaźnionego poety z Zaolzia Wilhelma Przeczka i Ireny Conti włoskiej pisarki polskiego pochodzenia, która tłumaczyła jego wiersze. – Ty, taki poważny człowiek... – powiedziała. No, właśnie. Pisanie wierszy jest sprawą niepoważną? Cóż na to powiedziałyby zastępy umarłych poetów?

Sam Adam Lewandowski uważa, że po prostu uprawia filozofię, akurat w takiej formie, bo jest przyjazna, nie wymaga tezy, rozwiniecia i niezbitych dowodów. Dopuszczalna jest tu intuicja i swobodna refleksja. Mówi, że nawet nie lubi jak nazywa się go poetą i potrafi to doskonale uzasadnić.

Ale przecież tę odpowiedź znajdziemy też i w jego wierszach przesyconych filozofią i uważnym, intelektualnym spojrzeniem na świat.

Genotyp

*Z wirujących mikroskopijnych
100 tysięcznych genotypów
pozostało człowiekowi ledwo
30 tysięcy, czyli dwa razy więcej
niż mucha, owad, a na pewno tyle
samo co szczur!*

*Nie ma gorszych, czy lepszych.
Bardziej czarnych lub białych.
Tylko bardziej lub mniej zadbane,
bardziej lub mniej zalotni,
bardziej lub mniej inteligentni.*

Oczywistym jest, że pisze to człowiek o sporej wiedzy. Gdyby prześledzić życiorys Adama Lewandowskiego, to znajdzie się tam najpierw wykształcenie matematyczno-przyrodnicze i pedagogiczne w zielonogórskiej WSP. A potem jest już cały ciąg nieustannego podejmowania nowych wyzwań. Trzeba to jednak koniecznie wpleść w jego życie, żeby zrozumieć jak niemal nieuchronna jest droga, którą stale podąża, a która zaczęła się w kamienicy pana Ronkego przy dawnej ulicy Walki Młodych, róg Targowej w Śremie.

Musiał być dobrym uczniem, lecz przecież nie stroniącym od zwykłych zajęć dziecięco-młodzieżowych. To z tego czasu bierze się nie tylko zamiłowanie do uprawiania sportu, ale i pamięć ulic, starych kamiennych płyt na śremskich chodnikach i równie solidnych krawężnikach. Akurat w okolicy Targowej i dziś widzimy resztki tego, co kiedyś było wszechobecne. Ich ślad znajdziemy i w żartobliwej dedykacji tomiku „Kręte ulice” i w wierszu tytułowym, który zresztą pokazuje, że to metafora ludzkiego życia – dróg, których biegu się nie przewidzi, ale które przecież można wybierać. Panu Adamowi zawsze towarzyszy myśl, że stać go na takie wybory – przez postawę człowieka myślącego.

Kręte ulice

*W dzieciństwie przebiegałem
krętymi ulicami –
woźnica, który leniwie prosi konia
o pewniejszą i szybszą pracę.
Nie jest zdziwiony zmieniającemu się otoczeniu.
Jako dorosły człowiek
zmęczonymi oczami spoglądam
na tłumnie poruszające się grupy ludzi.
Trzeszczący pod ciężarem most
spogląda na rzekę, która dba o swój wygląd.
Czy pozbedziesz się życiowego truizmu?
Czy zauważysz najważniejsze życiowe szanse?*

Adam Lewandowski nie ukrywa, że jest niemal zachłanny na wiedzę. Z ręką na sercu przyznaje się, że przeczytał wszystkie obowiązkowe lektury. Nie dlatego, że tak należało, ale dlatego, że był ich ciekawy. Tak było zawsze – w czasach gdy mieszkał po prawej i po lewej stronie Warty, gdy rodzina w 1973 roku przeniosła się na Jeziorany. Odtąd książki będą mu towarzyszyć całe życie, będą pomagały mu je poznawać, upiększać i smakować, dawać rady i wytchnienie. A w czasach studenckich odezwie się w nim też zdolność do pisania – spontaniczna, wyzwolona potrzebami chwili.

Trzeba bowiem tu dodać, że te zielonogórskie studia Adama Lewandowskiego przypadły na drugą połowę lat 70. i początek 80. Okres szaryzmy i beznadziei. Jednak w tym samym okresie kultura studencka w Zielonej Górze kwitła – muzyka, teatr, kabarety, filmy amatorskie. Może najbardziej znanym owocem tego twórczego fermentu jest dziś kabaret „Potem”, ale także i inne inicjatywy. Nieraz korciło, aby napisać tekst do ulubionej muzyki, więc się siadało i pisało.

W ten sposób do wierszy było już niedaleko. To się w młodości niejednemu może przydarzyć. Potem życie wciąga jednak człowieka w swoje tryby. I zapomina się o dawnych zaangażowaniach. Cezurą jest zazwyczaj koniec studiów. Adam Lewandowski ukończył studia w 1981 roku. Wiadomo co to był za rok! Nawet absolutorium nie było! A żeby otrzymać dyplom na uczelni, trzeba było się najpierw zgłosić do Wojskowej Komendy Uzupełnień i czekać na ewentualne powołanie. I takie wkrótce przyszło, kiedy pan Adam rozpoczął już pracę nauczycielską w Szkole Podstawowej nr 4 w Śremie.

Na początku stycznia 1982 roku był już w wojsku. Początkowo w Olsztynie, później w Szczecinie. Po jedenastu miesiącach był wreszcie w domu i mógł podjąć przerwana pracę w szkole. A kiedy otwierano Szkołę Podstawową nr 5 znalazł się wśród nauczycieli, którzy przeszli do nowej placówki. Był tam nauczycielem, zastępcą dyrektora, a w 1991 roku wygrał konkurs na szefa tej placówki. W „piątce” pozostał jeszcze cztery lata, kiedy zaproponowano mu przeprowadzenie w Śremie operacji przejmowania szkół przez gminę. Dziś Adam Lewandowski myśli, że miał wówczas sporo odwagi. Okazało się bowiem, że cały ten nowatorski proces wy-

magął wielkiego wysiłku, ale powoli, powoli szkoły zostały usamodzielnione. Tak się też stało, że pod jego nadzorem znalazły się instytucje kultury – Muzeum Śremskie, Śremski Ośrodek Kultury, Ośrodek Sportu i Rekreacji, z czasem opieka społeczna. Obecnie jest naczelnikiem Pionu Edukacji i Usług Społecznych Urzędu Miasta.

Temu powolnemu przybywaniu obowiązków i rozmaitych funkcji towarzyszy stałe dokształcanie się. Na Uniwersytecie A. Mickiewicza ukończył podyplomowe studia dziennikarskie, informatykę, zarządzanie na Politechnice Poznańskiej, a na Uniwersytecie Warszawskim zarządzanie instytucjami samorządowymi. Ostatnio podjął się studiów doktoranckich na Akademii Ekonomicznej. To bardzo poważne wyzwanie, pochłaniające sporo czasu, ponieważ wymaga się sporo publikacji i to w dziedzinie znanej nam dopiero po wejściu Polski do Unii Europejskiej.

Trudno pojąć, jak temu wszystkiemu podołać, a gdzie tu jest jeszcze miejsce na uprawianie sportu, czytanie prasy, książek, spacer, poezję, eseje, obserwacje życia, działkę? W dodatku niczego nie zaniedbując? Adam Lewandowski jest osobą uporządkowaną i nie marnującą czasu. Powtarza za swoim ojcem, że im człowiek ma mniej tego czasu, tym lepiej potrafi go wykorzystać. Przecież każdemu wiadomo z doświadczenia, że w codziennym galopie robi się więcej niż podczas wakacji. Trzeba tylko wiedzieć, jak ułożyć dzień, co ma być pierwsze a co drugie. Na literaturę, zapisanie poetyckich refleksji jest czas wieczorem. Jak choćby ta zawarta w tomiku „Kręte ulice”

I co znajdę wśród winnych?

*Wewnętrzna zgoda, czy utrapienie?
Jasność myśli, folwarczny rozgardiasz?
Spokój, czy bieg moralny?*

*Nie wiem o wczorajszym niebie
bo wróciłem późno z życia
piętrzącego trudności.*

*Nie wiem o porannym niebie
bo wyszedłem wcześniej
przytłumiony lawą rzeczywistości.*

*Nie wiem o południowym niebie
bo marszczyłem czoło nad
beztroską wszystkich.*

*Nie wiem o popołudniowym niebie
bo podjąłem próbę walki o wiedzę
i umiejtności.*

I co znajdę wśród dnia?

*Ciebie Boże rozjaśniającego moje myśli
o znojach dnia codziennego
niekończących się perypetiach wolności.*

Marzec 2002

Kiedy spogląda na swoje życie, jest zadowolony, że nie ma w nich momentów bezradności czy beczynności. Stara się po prostu

podchodzić do wszystkiego poważnie i refleksyjnie. I stąd także przemyślenia i do wierszy i do esejów. Choć w zasadzie nie robi żadnych notatek, to w kalendarzu zapisuje myśli czy początki tematu. Do nich wraca nieraz nawet po dwóch, trzech miesiącach. Śmieje się, że co roku ma większe kalendarze. Teraz ma taki świetny – na każdy dzień po jednej stronie. Ten jest podzielony na części. Jest więc harmonogram godzinowy i część, jak to nazywa refleksyjna, gdzie może zapisywać swobodne myśli czyli to, co ma zrobić w danym dniu – rozstrzygnąć, podjąć jakąś decyzję. I jest jeszcze miejsce na wolne myśli – początek publikacji, albo nawet zakończenie, sama kwintesencja, którą potem rozbudowuje, ubiera w formę.

To dobry moment, aby wspomnieć skąd się wzięło to pisanie Adama Lewandowskiego. Jak sam mówi, tłumaczy to zazwyczaj metaforycznie. Jego zdaniem, na pytanie „o czym myślisz?” nie można odpowiadać – że o niczym, jeżeli chce się być w zgodzie z prawdą. Każdy musi o czymś myśleć. Mózg nie marnotrawi czasu. Jeżeli więc człowiek coś obserwuje, to musi sobie też ułożyć jakiś sąd, refleksję na ten temat. Lubi więc uporządkowane myśli, a ma taki dar czy szczęście, że potrafi to swoje uważne, refleksyjno-filozoficzne spojrzenie na świat ubrać w słowa.

Jak już wspomniałam, zdarzało mu się pisać w czasach studenckich, najczęściej teksty piosenek. Jako młody człowiek traktował to wszystko emocjonalnie. Jednak z czasem przybywa doświadczenia, nabiera się dystansu. Namysł zastępuje łatwe emocje i pisze się inaczej. Pierwszy tomik poezji „Biorąc wszystko co ukryte...”, który został przetłumaczony na język czeski, ukazał się w listopadzie 1999 roku. Znalazły się w nim wiersze zebrane z różnych okresów, bardzo osobiste, poszukujące formy, ale zapowiadające już kierunek, w którym autor będzie podążał.

*Piękno należy pielęgnować
jak kwiaty –
kto zaniedba miłość,
przyjaźń,
uczucia –
niech nie ma złudzeń –
świat jego runie.*

Albo ten, w innej formie:

*Pobłogosław nasze ręce
co potrafią tak niewiele.
Pobłogosław nasze nogi
Co ucieczką są splamione.
Pobłogosław nasze myśli
by realne znów się stały.
Odpuść winy te co będą
Odpuść ustom całą prawdę
Odpuść oczom co widziały.*

*Daj miłości,
Daj mi szansę!*

Adam Lewandowski mówi, że nie ma ulubionych wierszy. Kiedy sięga po nie, to o

niektórych myśli, że dziś napisałby je inaczej, o innych po prostu, że są dobre. Jednak niezaprzeczalnie ma ulubiony tomik. To „Codziennik” wydany w Czechach z równoczesnym tłumaczeniem na czeski. Ta skromna edytorsko książeczka pewnie nie ukazała by się, gdyby nie namowy czeskiego poety Richarda Sobotki. Pan Adam i dziś uważa, że trzeba mieć odwagę, żeby w takiej formie dzielić się uwagami na temat świata. Dlatego długo zastanawiał się czy „Codziennik” opublikować. Pierwszy tomik wierszy może się każdemu zdarzyć, ale drugi jest już przedmiotem bardzo przemyślanej decyzji – po prostu wchodzi się naprawdę w świat poetów. Więc te namowy przyjaciół miały tu swoje znaczenie. Kiedy Irena Conti zobaczyła „Codziennik”, do tłumaczenia na włoski wybrała dwa wiersze – „UFO” i „Oczy starszej pani”.

UFO

Znowu zabili niewinnych
i nikt nie pyta:
Czy była to potrzebna śmierć?
UFO, szalony galop
muzyki techno ponownie
zdradził swoją zachłanność.
Pojawia się i znika
porywając naiwnych, szukających
krótkich wrażeń,
szybkiej śmierci.

Oczy starszej pani

Zamiedbane domy,
surowe wnętrza,
skamieniałe twarze
których bólu
nie złagodzi
żaden ludzki znak.
Smutny wyraz oczu
starszej osoby
obrazuje codzienność.

Tak, ten tomik jest stawiany przez autora na pierwszym miejscu. Podoba mu się – jak mówi – choć wydrukowany został na marnym papierze i gdzieś tam błędami. W świetle kartki nieuchronnie żółkną, dlatego kilka egzemplarzy trzyma w całkowitej ciemności, żeby nie uległy zniszczeniu.

Następny tomik miał być o kolorach. Zastanawiał się dlaczego żona zarzuca mu, że nie zna się na kolorach. Doszedł do wniosku, że dla niego każda czynność i zdarzenie ma swój kolor. Powstało więc parę wierszy na ten temat zamieszczonych ostatecznie w tomiku „Kręte ulice”.

Na przykład „Niebieski”.

Czarodziej wnętrza
z różdżką jak batuta
kieruje puchem
sfer niebieskich.

Rozjaśniona, ściemniona
królem sklepienia
korci granatem.
Uśmiecha się niebiańsko!

W tym zbioru, wydanym w 2003 roku, znalazł się również wiersz poświęcony księdzu Janowi Twardowskiemu.

A ile życia

Ks. Janowi Twardowskiemu

Boję się powiedzieć –
jesteś moim idolem.
Twoje słowa, gesty
i wyraz twarzy
pozwalają żyć
w harmonii.
A ile życia
straciłeś dla innych –
zostawiając serce pełne
wiary dla wszystkich.

Adam Lewandowski prowadził korespondencję z księdzem, cieszyły go te kilkuzdaniowe sentencje, jakie otrzymywał w odpowiedzi. Kiedyś wraz życzeniami świątecznymi wysłał mu ten wiersz. Ksiądz Jan, człowiek wielkiej skromności, odpisał, że nie wie czy dziękować, bo nie wie czy zasłużył na to, aby pisano o nim wiersze. Pan Adam wysłał mu też najnowszy tomik „Ludzie niby drzewa”. Nie wiadomo jednak czy ksiądz Jan zdążył go przeczytać, bo było to tuż przed jego śmiercią. Szczegółowo można o tym przeczytać w eseju Adama Lewandowskiego, w tym samym numerze „Gazety Śremskiej”.

Warto zatrzymać się na chwilę przy tych esejach. Wiadomo, że są bardzo czasochłonne, zwłaszcza na etapie zbierania materiałów. Generalne założenie autorskie to mity i fakty z życia znanych osób, które już odeszły i których dzieło jest już zamknięte. Pan Adam wylicza, że jeden esej na dwa miesiące – taki bicz dopingujący do systematycznej pracy – oznacza pracę nad trzema tematami na raz. Trzeba czytać książki, różne publikacje na ich temat. Samo pisanie to już ten najlżejszy i najprzyjemniejszy moment. Uzbierało się już trochę tego i chyba będzie z tego książka, z akcentem na walory poznawcze, mniej literackie.

Kiedy rozmawiamy o ostatnim tomiku wierszy „Drzewa niby ludzie”, mówi, że była to właściwie inicjatywa Eugeniusza Ferstera. Miał w Muzeum Śremskim wystawę fotografii „Gniazdo czyli rozliczne ołtarze Matki Natury” i zachęcił Adama Lewandowskiego do jej obejrzenia. To było inspiracją najpierw do wybrania serii fotografii, dobrania wierszy z powstającej właśnie serii o wiosnie i napisania także całkiem nowych, pod wpływem wrażenia, jakie robiły na autorze nowe propozycje Eugeniusza Ferstera. Jak na przykład wiersz kończący tomik, któremu towarzyszy fotografia rozpadającego się drzewa:

Ziemia ma ogromne przyciąganie
szczególnie w stosunku do dorosłych
osobników nie mających sił.
Sponiewierani – bez źródeł do życia –
powoli padają w zadumę
by natychmiast w sposób niewidoczny
dla ludzkiego oka paść na kolana
stracić siły.
Opadły ręce nogi w przegubach

pękły łokcie. Oby tylko przestał wiać
codzienny wiatr życia.
Zostały suche gałęzie poddające
się łatwo ogniovi.
Pokora granicząca z rozpazą.

Albo wiersz otwierający zbiorek, o którym mówi, że powstał niemal podczas wspólnej dyskusji:

Drzewa
wyciągają
swoje
ręce,
Słońce
gorąco
do siebie
je tuli.
Całe wieki
trwa
ten lubieżny
spłot.
Zazdrosnym
chmurom
zbiera się
na plac.

Autor rzeczowo konstatuje, że jest zadowolony ze strony edytorskiej tego wydawnictwa. O wierszach nie mówi. Uważa, że jeżeli ktoś znajdzie w nich coś dla siebie, to będzie dobrze i już myśli o następnym tomiku. Byłby on również związany z fotografiami, tym razem Zbigniewa Schmidta. Teraz trzeba wybrać z bogatego zbioru ze 20-30 fotografii, przyjrzeć się im, poobserwować przyrodę, poczekać aż się wykrystalizuje pomysł. To potrwa jakiś czas. Może pół roku jak w przypadku ostatniego tomiku, a może więcej.

Jedno jest pewne, że niemal co wieczór Adam Lewandowski będzie siedział w swoim domowym „królestwie” – bibliotece z gazetami, książkami, komputerami, czytał, pisał i czekał na wiosnę, którą tak lubi. A potem nas znowu czymś zaskoczy. Choć on sam nigdy by tak nie powiedział, bo uważa, że w życiu potrzebna jest pokora. Uznanie ludzi, rzeczy i spraw takimi jakimi są, pozwala nie tylko podejmować właściwe decyzje. Wskazuje także na właściwe miejsce człowieka w świecie i możliwość zharmonizowania się z nim. Dajmy więc na koniec jeszcze raz przemówić wierszom.

Tvoja natura

Cokolwiek spadnie z nieba
przyjmę to w spokoju
i z szacunkiem.
Mannę, co ulata –
niesioną podmuchem wiatru,
kołysaną przez krople deszczu,
płatki śniegu.
Zrzucone gradowe kule
obezwładniające oczy, nos, rozum.
Potem słońce wdzierające się w kąciaki
źrenic. Widzisz? Jestem tutaj!
Podaj rękę. Poprzez labirynt gradu
wyprowadzę Twoją naturę.

BARBARA NOWICKA

Zamyślenia



W tej wielkiej rzece czasu

Wrocławskie środowisko literackie może poszczycić się wieloma znakomitościami twórcami, wśród nich, mieszkającym tu od roku 1968 poetą – **Kazimierzem Burnatem**. Z wykształcenia prawnik (Uniwersytet Wrocławski), studiował też handel zagraniczny, organizację i zarządzanie (Akademia Ekonomiczna). Ale to jeszcze nie wszystko, otóż był jednym z twórców harcerstwa dla młodzieży trudnej w ramach „Nieprzetartego Szlaku”, żołnierzem czerwonych beretów i spadochroniarzem...

Kazimierz Iwosse

Zaiste, zapis w materii życia osobistego Kazimierza Burnata jest tak obszerny, że obdzieliłbym nim paru literatów, bo to nie tylko wspaniały poeta, ale też edytor, tłumacz wierszy (j. czeski i ukraiński), dziennikarz i publicysta, animator kultury, redaktor czasopisma społeczno-kulturalnego „Bez kurtyny”, którego los pogrzebany został przez wszędobylski już kryzys. Bogata to w działania literacka postać na tle materii życia osobistego. A to już siedemdziesiąty rok tego twórczego żywota.

Tego rodzaju osobisty jubileusz ukazuje nam, jakie są drogi serca i umysłu ludzkiego i tworzące autoportret malowany pięknymi kolorami, bowiem jesień życia włada takimi barwami. Tego rodzaju okrągłe jubileusze dają wyraz summie twórczego żywota, dają asumpt pokazania nade wszystko czytelnikom pięknej, mądrej poezji Burnata i wizerunku ich autora – oto człowiek. Każdy z nas z jakimś lękiem zapisuje datę uciekającego roku. Wiemy, iż starość przychodzi nieodwołalnie, kiedy nie potrafimy już rzucać projekcji siebie w przyszłość. Może szczególnie twórcza praca bywa taką projekcją, więc jak mówiła Anna Kamińska twórca nie powinien lękać się starości. Szczególnie ten, który szczyty się bogactwem półki biblioteczej

zapełnionej własnymi utworami. A tych tomików wierszy Kazimierza Burnata jest wiele. Przecież przełożył i wydał tomy poetyckie innych, zaprzyjaźnionych poetów. Opracował i opatrzył posłowiem lub wstępem ponad czterdzieści różnych publikacji książkowych, jest współautorem około osiemdziesięciu antologii, almanachów i monografii, tych wydanych w kraju i za granicą, m.in. w USA, Czechach, Izraelu, Serbii i Ukrainie. Warto dodać, że poezje Burnata tłumaczono na język angielski, chiński, chorwacki, czeski, francuski, hiszpański, litewski, łotewski, mongolski, niemiecki, wietnamski, serbski, słowacki i ukraiński. Uff!

Chciałoby się zapytać, kiedy to wszystko zdążył zrobić? Wystarczy obrót powracającego czasu, aby to wszystko w nim pomieścić. Jako przyjaciel i czytelnik poezji Kazimierza muszę wyznać, że biorąc do ręki tomiki wierszy, wysysam z nich każde słowo, każdą literę, smakuję ukryte znaczenia oraz bogactwo możliwości skojarzeń. Jest w nich, zwłaszcza w ostatnich tomikach... żar zmierzchu. Długo autorowi towarzyszy ów żar, bo aż 70 lat (urodził się 1. lipca w miejscowości Szczepanowice nad Dunajcem, gdzie często powraca, gdyż tam zastaje święty zapach dzieciństwa). To poeta wrocławski powiedział mi kiedyś: jak dobrze poznać smak dzieciństwa z jego ubóstwem i smakiem zwykłej pracy. Kazimierz, mimo tych paru dziesiątków lat życia, może i mozolnie już teraz, ale stwarza sobie dystans przed nowym pisaniem, przygotowany do skoku w nowy tomik wierszy. Jak wyznał, marzy mu się teraz książka o dzieciństwie. Temat bliski sercu, pełen zapachów i krajobrazów, drzeniem, powietrza. Wiersze Burnata nastrojowo-liryczne dzięki właśnie ich prostocie, ukazują dojrzałą filozofię poety, tę filozofię podaną bardzo subtelnie i pięknie.

Warto wspomnieć już na zakończenie, że dzięki jego promocjom, zaistniało wielu młodych debiutantów. Podejmując różnorakie działania, inspiruje młodzież do twórczego rozwoju. Ma to miejsce za sprawą warsztatów literackich, gdzie występuje jako instruktor, bywa też jurorem. I ma, jako Przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńkiego ZLP, ogromny wpływ na artystyczną wartość rodzących się dzieł literackich. Szczególnie cieszy fakt, iż interesują go inspiracje młodzieży, tej z małych środowisk wiejskich, odnajdując ich małe ojczyzny w kraju, te skazane czasami na milczenie. Niespokojna to dusza i oby nam w tym swoistym sprężeniu niedobrego czasu, długie jeszcze lata ukazywała wielkość prostoty i sens czasu ludzkiego.



Czar białych rękawiczek Luca Ferry

Traktat *Jak żyć?* to książka Luca Ferry (1951), francuskiego filozofa, byłego ministra edukacji, doktora nauk politycznych i laureata nagrody literackiej Prix Aujourd'hui, przyznawanej we Francji za książkę o współczesnej historii lub polityce.

Traktat, za który Ferry otrzymał w/w nagrodę, stanowi przesłanie dla współczesnych i przyszłych pokoleń. Są w nim pytania, a często i odpowiedzi dotyczące sensu życia. Autor dowodzi, że filozofia jest nauką, dzięki której człowiek może się dowiedzieć jak przezwyciężać rutynę dnia codziennego, niepewność i udutki przemijania, a nawet lęk przed śmiercią.

Czytelnik ma ulec czarowi pasjonującej podróży w świat myśli, zaproponowanej przez autora. Dowodem na działanie tego czaru jest fakt, że książka *Jak żyć* została przetłumaczona na dwadzieścia języków, w tym również na język polski.

Ferry przedstawia pięć filozoficznych wizji świata według: starożytności, chrześcijaństwa, humanizmu, postmodernizmu i filozofii współczesnej. Wnika w sens każdej z tych doktryn pokazując ich wartość, stara się rozwiać to, co uważa za złudzenia i ukazać właściwy wg niego sens życia. Nie poprzestaje na opowiadaniu o poglądach innych, lecz przedstawia własną wizję humanizmu. W czasie lektury zauważyłam, że książka zawiera jeszcze jeden temat, którym jest krytyka chrześcijaństwa. Ferry nie atakuje chrześcijaństwa bezpośrednio, robi to dyskretnie, jakby mimochodem, ale jego dygresje poświęcone temu tematowi zajmują co najmniej dziesięć procent całego tekstu.

Wielką sztuką jest umiejętność posiania zwątpienia. Autor nie krytykuje wprost, ale osiąga swój cel używając zwrotów takich jak: *obietnice, które składają nam religie, są zbyt piękne żeby były prawdziwe*. Takie sformułowania, powtarzane często i konsekwentnie mają zasiać, a następnie ugruntować zwątpienie w prawdy Chrześcijaństwa. Dla wzmocnienia skuteczności Ferry powołuje się na przykłady z czasów swojej młodości, pisząc: *gdy byłem jeszcze studentem, kwestie religijne w ogóle nie były w modzie [...] można było zostać profesorem nie wiedząc nic o chrześcijaństwie*. Posiawszy zwątpienie, przekonuje, że religie ludzkie obietnicami bez pokrycia, co ma skłonić czytelnika ku innemu rozwiązaniu.

Autor traktatu przeciwstawia sobie dwa projekty: naukowy i religijny i zachęca do wyboru naukowego, sugerując, że *powrót do dawnych wierzeń jest niemożliwy, a filozofia i religia to dwa przeciwne podejścia do kwestii zbawienia*. Czytelnik ma nabrać pewności, że może sam osiągnąć zbawienie. Następnie ma się umocnić w przekonaniu, że jako człowiek rozumny, nie może być człowiekiem wierzącym. Gdyby wybrał projekt religijny skazałby się na rezygnację z rozumu, ponieważ, jak pisze autor: *minął już czas starożytnych, kosmicznych i religijnych*

(Dokończenie na stronie 13)

BADŹ CO BADŹ



Na dnie tajemniczej głębi

Ciekaw jestem, jaką nicość miał na myśli Pan Cogito, kiedy zachęcał do marszu po złote runo nicości? Czyżby myślał o jakimś szczególnym rodzaju nicości, która pokryta jest złotem niczym dno lasu mchem, a skóra barana sierścią? A może myślał o niczym w sensie hinduistycznym, buddyjskim lub teozoficznym, czyli o takim niczym, które jest emanacją jakiejś niewysłowionej, samoświadomej myśli?

IGOR WIECZOREK

Niezależnie od tego, o czym właściwie myślał ten zagadkowy Cogito, czynił to perspektywnie, czego dowodem jest siła i popularność wierszy, w których wciąż jest obecny.

To dobrze, że laureatem pierwszej edycji Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta został właśnie poeta spod znaku Pana Cogito.

W bardzo wielu utworach, które wychodzą spod pióra Williama Stanleya Merwina, pobrzmiewa to samo echo metafizycznej tęsknoty i trzeźwej życiowej mądrości, które brzmi bardzo głośno w wierszach Zbigniewa Herberta. Odpowiednikiem wędrówki po złote runo nicości wydaje się tutaj nauka słuchania martwego języka, który jest martwy inaczej, niż wszystkie faktycznie martwe (nieużywane) języki, bo można go jednak usłyszeć wtedy, kiedy się milczy. A zatem – nic dodać, nic ująć! Trzeba po prostu milczeć, słuchać inaczej martwego języka i zmierzać po złote runo metaforycznej nicości.

To świetnie, że fundatorem prestiżowej Nagrody im. Zbigniewa Herberta okazał się zacny Orlen. Wypada żywić nadzieję, że w

niedalekiej przyszłości śladem tej Spółki Akcyjnej pójda inne zrzeszenia, bo na mecenat państwowy od dawna już nie można liczyć.

Odkąd kilka lat temu Wielki Edukator, Roman Giertych, podjął próbę usunięcia dzieł Gombrowicza z kanonu lektur szkolnych, trudno się oprzeć wrażeniu, że w sposobie myślenia kolejnych Edukatorów jest coś groteskowego, i to groteskowego w gombrowiczowskim sensie.

Jak powszechnie wiadomo, głównym tematem twórczości Gombrowicza jest konflikt niedojrzałości, bezformia, braku powagi z fałszywą powagą, czczą formą i taką prawomocnością, której źródłem jest wiara w istnienie doskonałości. Gombrowicz szczerze nie znosił kultu doskonałości i „oficjalnego myślenia”. Są nawet powody, by mniemać, że w świetnym opowiadaniu „Przygody” antycypował on konflikt swej literackiej spuścizny z edukacyjną doktryną Wielkiego Edukatora.

Wystarczy tylko przypomnieć, że główny bohater „Przygód”, czyli sam Gombrowicz, trafił na pokład statku, którego wyniosły kapitan okazał się białym murzynem. Chcąc osiąść „tajemnicę głębi”, biały murzyn zamknął Gombrowicza we wnętrzu stalowej kuli, którą następnie zatopił w Oceanie Spokojnym na głębokości 17000 kilometrów. Tak oto „tajemnica głębi” przestała być niepojęta i żądny władzy kapitan nie miał już wątpliwości, że na dnie oceanu wije się właśnie Gombrowicz, zamknięty w stalowej kuli.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta przygoda trwa nadal. Zaledwie kilka lat temu działania białego murzyna znalazły kontynuację w działaniach Romana Giertycha, który nie mógł zrozumieć, że Gombrowicz miał rację twierdząc, iż „życie nie jest sprawą tak łatwą, jak to się wydaje gazetom i, co za tym idzie, ani też nie może być łatwa literatura, która chce czerpać swoją treść nie z popularnych sloganów, ale z ostrego i głębokiego dramatu egzystencji”.



Tymczasem w ostatnich miesiącach działania białego murzyna zaczęły dochodzić do głosu w czynach tudzież beczynach dziesiątek innych Wielkich Edukatorów. Jednym z nich jest chociażby minister Radosław Sikorski, który nie może zrozumieć, że skoro środki finansowe przeznaczone na wspieranie mediów polonijnych zostały przesunięte z Senatu do MSZ, to w oczach tych wszystkich Polaków, którym los polonusów leży głęboko

na sercu, główny ciężar odpowiedzialności za pogłębiającą się wciąż zapaść finansową owych mediów spoczywa właśnie na jego barkach i świątobliwej głowie.

Niełatwo być białym murzynem na pokładzie okrętu płynącego w nieznane po wiecznym wzburzonym morzu. O wiele trudniej być jednak redaktorem polonijnej gazety, której nie można przeczytać, lub innym Panem Cogito zamkniętym w stalowej kuli na dnie tajemniczej głębi.

Czar białych rękawiczek Luca Ferry

(Dokończenie ze strony 12)

zasad, a zarówno nauka starożytnych jak i nauka chrześcijan przestały być wiarygodne dla światłych umysłów. A więc czytelnik musi dokonać wyboru, musi się określić. Ferry dostarcza mu argumentów, ułatwiających to zadanie, przypominając o tym, że, religia wymaga porzucenia rozumu, żeby zrobić miejsce wierze, wiara sprawia że więcej tracimy [...] niż zyskujemy, a więc zbawienie musi pochodzić od nas samych.

Luc Ferry jest wybitnym pisarzem i potrafi być skuteczny i konsekwentny; dba też o pozory i nie przekracza pewnych granic. W końcowej części książki, pozornie łagodzi swe wypowiedzi i pisze, że *na półce z próbkami nauk o zbawieniu nic nie może się równać z chrześcijaństwem*, zaraz jednak dodaje: *jednakże pod warunkiem, że jest się człowiekiem wierzącym*. Dla podkreślenia wagi sprawy przypomina, iż sam nie wierzy w przesłanie jakie niesie Chrześcijaństwo i przedstawia własną wersję humanizmu, który *zrzucił z siebie wreszcie iluzje metafizyki i religii*. Zdaniem Ferry'ego *powinniśmy, z dala od buddyźmu i chrześcijaństwa, nauczyć się żyć i kochać jak dorośli*.

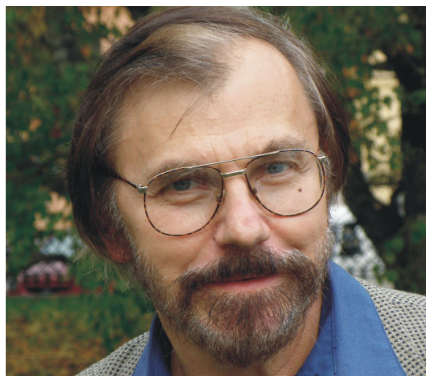
Gwoli prawdy muszę przyznać, że w traktacie Luca Ferry możemy znaleźć nie tylko krytykę chrześcijaństwa ale też wiele myśli interesujących, oryginalnych, inspirujących i twórczych.

Przykładem może być chociażby przybliżenie czytelnikowi trzech wielkich osi filozofii: teorii, etyki i mądrości i omówienie ich w odniesieniu do różnych wizji filozoficznych; a także idea myślenia rozszerzonego, polegająca na wydobywaniu z każdej wielkiej wizji świata, tego co w niej słuszne i cenne.

Książki Luca Ferry są szeroko reklamowane. Kto nie zechce przeczytać świetnie napisanego i rozreklamowanego światowego bestsellera napisanego przez znanego i czującego naukowca? To pytanie retoryczne. Traktat *Jak żyć?* jest świetnie napisany i dobrze się czyta i w tym tkwi w pewnym sensie pułapka zastawiona na czytelnika.

Jurata Bogna Serafińska

Listy do Pani A. (60)



Śmietanka i szumowina

Droga Pani!

Jakby dopiero co zaczął się 2013 rok, a tu już połowa... Takie mam odczucie. Niebawem będę się zbierał do wakacyjnego wyjazdu na moje Kaszuby. Lubię jeździć w te same miejsca, bo dla mnie one nie są te same. Zawsze coś innego potrafię tam zauważyć, zwiedzić miejsca, których dotąd nie znałem. Nie siedzę nigdy na miejscu, ale przemieszczam się w promieniu mniej więcej stu kilometrów, codziennie gdzie indziej. Jest ciekawie, bo – tu mi Pani zapewne przyzna rację – i życie, i świat są ciekawe, warte zainteresowania. Nawet to samo drzewo widzimy inaczej, niż w latach ubiegłych. Tylko trzeba starać się to wszystko zauważać.

A co jeszcze zauważyć? Przemijanie? Własne życie? Ślady wydarzeń z najdalszej przeszłości wróżące dziś przyszłość? Skąd takie refleksje? Jestem pod wrażeniem świetnej, wybitnej książki Piotra Kuncewicza „Brama. Dziennik intymny doktora Fausta”. Utwór ten Leszek Żuliński nazwał „powieścią-esejem”. Lektura, to prawdziwa uczta intelektualna. Powiada Piotr Kuncewicz, że człowiek: *Podczas tej wędrówki przez szlaki doświadczeń i myśli poznaje ogrom świata i bezmiary jego komplikacji, dowiaduje się, że nigdy ich nie ogarnie.* I to jest cały dramat, a zarazem szczęście ludzkiej egzystencji – świadomej, uświadomionej na wszelkie zjawiska zachodzące w świecie, na przemijanie, rozpad, destrukcyjne działanie czasu. To wszystko bowiem składa się na swoisty „krajobraz” oglądany z naszego wnętrza niczym przez okno pędzącego pociągu. Jest to proza bogata w znaczenia, starająca się objąć rzeczywistość, rozwikłać jej tajemnice, zarazem pokazać aktualność faustowskiego mitu. Przy tej dojmującej świadomości, że zgłębienie owych tajemnic nie jest i nigdy nie będzie możliwe.

A w Teatrze Polskim wręczono po raz pierwszy Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta. Laureatem został William Stanley Merlin, amerykański poeta, świetny zresztą, należący do starszego pokolenia (ur. 1927). Miał siłę i ochotę przyjechać do Warszawy. Dostaliśmy ze Zbyszkim Milewskim zaproszenia na tę uroczystość, jako przedstawiciele ZLP. Teatr był pełny. Zebrała się banda chamskich i matołowatych celebrytów i polityków. To byli zupełnie inni ludzie. Kulturalni, z klasą – takich osób nie widać powszechnie na ulicach. Giną w morzu neandertalu. Tu zebrali się na małej przestrzeni. Podejrzewam, że to cała prawdziwa inteligencja, potomkowie przedwojen-

nego high lifu. Wystarczyło popatrzeć na twarze, zaobserwować dystyngowane zachowanie. Zobaczyłem tam Panią, a może tylko znów uległem niepoprawnemu złudzeniu...

Wreszcie weszliśmy na widownię. Zbyszek zauważył starszego pana siedzącego samotnie w pierwszym rzędzie. Nikt na niego nie zwracał uwagi. To właśnie był laureat. Zbyszek podszedł do niego z jego tomikiem i poprosił o autograf. „Jak się pan nazywa?” – spytał laureat. „Zbigniew Milewski”. Na to Merwin: „Tak, dostałem nagrodę Herberta. A pan jak się nazywa?” „Zbigniew...” „Ale pan jak?”, „Zbigniew...” Historia powtórzyła się kilka razy, aż przyszedł tłumacz i wyjaśnił, że „ten pan także jest Zbigniew”. Nie mogło się Merwinowi pomieścić w głowie, że może być na świecie inny Zbigniew poza Herbertem...

A potem był bankiet. Dużo wina wypiliśmy ze Zbyszkim. Przesiadł się do nas Adam Zagajewski. Zbyszka nie znał w ogóle, mniej z wierszy. Zaczęliśmy rozmawiać. W pewnym momencie słyszę, jak Zbyszek pyta protekcyjnym tonem: „A pan Adam coś pisze?” Zagajewski nie dał nic po sobie poznać, powiedział skromnie, że istotnie „coś pisze”, a wkrótce pożegnał się i poszedł.

Wyszliśmy z teatru jako jedni z ostatnich gości, we wspaniałych nastrojach, śmiejąc bez przerwy z zaistniałych sytuacji. „A pan Adam coś pisze?” Paradnie!

Muszę Pani powiedzieć, że na 55-lecie Hybryd było nieco inaczej. Podobno mówiła coś Krysia Gucewicz, podobno występował Stanisław Zygmunt z ostatniego kabaretu Helota, który był w starej siedzibie Hybryd na Mokotowskiej, podobno śpiewała Jolanta Kubicka, która po przerwie wraca na estradę. Piszę podobno, bo z tyłu sali, przy barku stał tłum jakichś ludzi, pretensjonalnych paniusi i podstarzałych zadowolonych z siebie byków i gadał, krzyczał, zagłuszał. Nie wiem, co mówił artysta kabaretowy, co śpiewała piosenkarka, nawet fortepian było słychać słabo. Zainteresowani siedzieli w krzesłach, ale podobnie jak ja prawie nic nie słyszeli. A tamci hałasowali. Czuję się tak, jakbym za głębokiej komuny słuchał zagłuszanej Wolnej Europy. Krysia prowadziła całość, tworzyła – jak zwykle – serdeczną, przyjacielską atmosferę, ale nie wierzę, że jej ten ustawiczny, głośny gwar nie przeszkadzał. W każdym razie jako osoba o rzadko dziś spotykanej, wysokiej kulturze nie zareagowała tak brutalnie, by gawiedź zrozumiała.

A kiedy wniesiono urodzinowy tort, plankton artystyczny rzucił się w jego stronę niczym zwierzęta w zoo na widok karmiciela. Tego nie było w Polskim. Nie widziałem, aby ktoś się pchał, zdobywał żarcie walcząc niczym pod Grunwaldem. I tu jest widoczna różnica pomiędzy Warszawą a Warszawką, kulturą a kulturką. Ale z drugiej strony... Może naród jest rzeczywiście głodny, a poza tym ma wyniesiony z domów charakter krzyworjny?

Tak czy inaczej, na jubileuszu Lama Quang My w auli Domu Literatury było normalnie, ale tu nadawali ton Wietnamczycy, naród bardzo kulturalny. Trudno uwierzyć, że to była siedemdziesiąta rocznica jego urodzin. W części oficjalnej z powagą wystąpił Jan Zdzisław Brudnicki mówiąc kwieciste o poezji naszego wietnamskiego przyjaciela. Postanowiłem nakłuć trochę ten jubileuszowy balon i przypomniałem, że Lam śpiewa swoje utwory, jest atrakcją każdego spotkania. Powiedziałem też, że jeśli śpiewa po Wietnamsku, to nikt nie jest w stanie zorientować się, który to wiersz. Równie dobrze – mówię – mógłby zaśpiewać ostatnie wersy „Zagłady” Marka Wawrzkiewicza. Pamięta je Pani? Jeśli nie, proszę zajrzeć do jego tomu „Epizod” na stronie 122. Albo do jednego z niedawnych listów do Pani,

gdzie właśnie te wersy cytuję. Potem opowiedziałem, jak to w ramach Galicyjskiej Jesieni Poetyckiej, pojechaliśmy z Lamem do Dąbrowy Tarnowskiej. Miałem wtedy w samochodzie alarm, który włączał się automatycznie, a wyłączyć można go było nie pilotem, ale specjalną plakietką, którą się przykładano do czujnika wewnątrz. Alarm włączał się przy każdym otwarciu drzwi. Przyjechaliśmy do Dąbrowy, a tam trzeba było spytać kogoś, gdzie jest biblioteka, w której mieliśmy spotkanie. Powiedziałem więc Lamowi, aby pod żadnym pozorem nie otwierał drzwi, a ja wyjdę spytać kogoś o drogę. Wsiadłem, idę w kierunku jakiegoś przechodnia, a tu wycie alarmu na całe miasteczko. Wróciłem biegiem do auta. Lam otworzył drzwi i chciał wysiadać. Opięprzył go po żołniersku. A na to Lam: „diktator, diktator, diktator!” Wspomniałem też, że Lam w moim telefonie figuruje pod hasłem „Mucha”. Nazwałem go Człowiekiem-Muchą, ponieważ przemieszcza się tak szybko, że niepostrzeżenie znika w jednym miejscu i pojawia się w drugim. A potem krótko omówiłem jego poezję. Krótko, ponieważ Brudnicki wyczerpał temat.

Byłem z Joasią i z Iskrą na Świącie Narbutta. To taki doroczny festyn mający integrować mieszkańców. Są różne imprezy, stoiska z wyrobami domowymi, książkami. W tym roku była bodaj trzecia edycja tego festynu. Pamiętam dwie poprzednie edycje. Wydaje mi się, że wtedy było większe zainteresowanie. Nie wiem czy to kryzys, czy gaśnie polski słomiany ogień, ale teraz wydało mi się bardzo ubogo, bardziej sztywno. Ale coś musiało być na rzeczy, bo organizatorzy ogłosili, że odwołują imprezę, a w kilka dni potem poinformowali, że jednak się odbędzie. A to wszystko przez głupich urzędników, którzy nie chcieli wydać odpowiedniej zgody. Nie wiem na czym to polega, ale Warszawa od lat ma więcej upolitycznionych idiotów we władzach niż inne miasta. Bufetowa nawet ze śmieciarni nie potrafiła sobie poradzić, wydała grube pieniądze, a do końca roku nie będzie żadnej segregacji, bo pojemników nie ma. To w co ją schowamy wreszcie? Koniecznie trzeba wskrzesić Starynkiewicza! Takiego chaosu, idiotyzmów i marnotrawstwa jakie dziś mamy, mogą się od Warszawy uczyć na całym świecie!

Myślę, że bez władz lepiej by sobie ludzie poradzi. Przecież bez żadnej pomocy znikąd, przy dobrej woli właścicieli Bibelołów, państwa Kaniewskich, bezinteresowności poetów, udało się rozkręcić „Poezję na Willowej”. Teraz jest wakacyjna przerwa. Sezon zakończył się spotkaniem z Anną Andrych. Świetne wiersze, choć może trudne, przesyczone pewnym tragizmem, ale świetnie napisane, ekspresyjne, celnie zmetaforyzowane. Bardzo się jej wiersze podobały zebranym, wywiązała się rozmowa z poetką, której ujmująca postawa zjednała sympatię słuchaczy. Mamy więc wszyscy powód do satysfakcji. I niczego więcej nie potrzeba, żadnych partii, Kościołów, prezesów, biskupów i innych pasażerów. Damy sobie radę sami. Willowa – mała rzecz, ale wskazująca, że można w ten sposób organizować także rzeczy wielkie. Trzeba tylko chcieć. We wrześniu ruszamy znowu.

Pani obecność podtrzymuje mój optymizm, którego coraz więcej. Ale w końcu nie narzekam, tylko konstatuje, i nie ma w tym mojej winy. Dzięki Pani moje widzenie staje się bardziej tolerancyjne. Dostrzegam więcej dobra i piękna, kiedy patrzę na Panią! Pozdrawiam zatem, i trwam w tym zapamiętaniu –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania



Cugow

Wszyscy obawiają się śmierci, zostaliśmy bowiem stworzeni do życia, a nie do umierania. Kiedy jednak ludzie umierają, to najprawdopodobniej najpierw zamieniają się w drzewa, a dopiero później pochłania ich proch ziemi, ten swoisty dech życia pozaziemskiego, który tak naprawdę jest iskrą życia, siłą witalną, która popycha człowieka do działania – tu, na Ziemi...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Pięć lat temu zmarł Tadeusz Kwiatkowski-Cugow. Ktoś mógłby powiedzieć, że umarł, bo każdy musi umrzeć. To prawda, ale umarł człowiek, który już za życia stał się legendą... Kto nie znał Cugowa osobiście, ten może żałować, że więcej nie będzie mu już dane widywać człowieka, dla którego najważniejsze były trzy słowa: poezja, patriotyzm i przyjaźń. Poezję kochał, patriotyzm szerzył, a jeżeli już się z kimś przyjaźnił, to na całego... Co więc trzeba było zrobić, aby zaskarbić sobie jego przyjaźń? Nic. Po prostu nie można było udawać – niczego. Miał więc tych przyjaciół sporo. Był i Edward Stachura, i Janek Himilbach, i wielu, wielu innych. Każdy z nich osobny – niezwykle „kolorowy”. Miał znajomych wśród polityków i zwykłych meneli. Potrafił być szarmancki, a jak trzeba było to chamski do bólu. Nie znośił udawania, chociaż powtarzał, że każdy powinien grać swoją ziemską rolę najlepiej, jak tylko potrafi. Tadzio był w tym mistrzem...

I co najważniejsze... Był prawdziwym poetą, nie takim udawanym, wylansowanym przez kolorowe pisma dla idiotów oraz takim, co to wszystkie rozumy pozjadał. Tych ostatnich nie brakuje – jest ich bez liku.

Poezja była dla niego kwintesencją życia, wodą i powietrzem, bez których nie da się żyć. Całe życie wierzył, że poezja to najpiękniejsza rzecz, jak mogła się przytrafić człowiekowi.

Wiersz był dla niego modlitwą, swoistą formą spowiedzi, a często ostatnią deską ratunku, przed cywilizacyjnie zdegenerowanym społeczeństwem.

Był wielkim patriotą, nie takim z pierwszych stron gazet, którzy rozprawiają o miłości do Ojczyzny przed kamerami telewizyjnymi. Często powtarzał: „Patrz Andrzej, na tych kretynów! Zapewne żaden z nich nie potrafi zaśpiewać „Marsza Pierwszej Brygady”, a rozprawiają o patriotyzmie! Zobacz, kiedy kamery gasną, oni także milkną... Nie ma większej miernoty od polityka...”

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Ale to nie jest prawda. W kulturze i sztuce nikogo nie da się zastąpić, tym bardziej, jeśli ktoś był takim człowiekiem, jak Tadzio Cugow.

Każda strata bliskiej osoby stanowi wyłom w naszej codzienności i nie da się go wypełnić cudzą obecnością. Tu nie ma substytutów ani tworzyw zastępczych, podobnie jak w puzzlach, gdzie nie można wcisnąć przypadkowego kawałka tak, żeby pasował do raz ustalonej całości.

Nasza przyjaźń trwała bez mała dwadzieścia lat i pomimo dużej różnicy wieku rozmawialiśmy jak mało kto. Rozmawialiśmy niesłuchanie często, czasami po kilka godzin dziennie... Ciągle wspominaliśmy nasze literackie wyprawy... i te nie do powtórzenia nocne rozmowy – przy kielichu albo i bez – o literaturze, historii, bardzo często o Polsce... Wtedy z uśmiechem „wypalał”: „Popatrz, dwóch kretynów zamiast spać, napierdała w nocy o patriotyzmie. Czy to jest normalne?”...

Ale taki był Tadzio: dla jednych cudowny, dla innych nie do zniesienia. Bo był prawdziwy, jak nikt inny – jedyny, niepowtarzalny, wyjątkowy...



Foto: Andrzej Dębowski

Ostatnie zdjęcie, jakie zrobiłem Tadziovi. Poznań, 8 listopada 2007, godz. 23.14...

To nie umarł zwykły poeta. To umarł wyjątkowy poeta, który swoim życiem zaświadczał wszystkich definicji poety, poezji i poetyckości... To umarł ostatni król polskiej bohemie artystycznej...

Kiedy 8 listopada 2007 roku wracaliśmy do hotelu z Klubu Garnizonowego w Poznaniu Tadzio Cugow w pewnym momencie powiedział mi: „Andrzej, marzy mi kiedyś taki pogrzeb – z orkiestrą wojskową, dużym gronem kolegów-pisarzy, węgierską husarią, polskimi ułanami, władzami Lublina, z prasą, radiem i telewizją, i... nieprzebranymi tłumami miesz-

kańców Lublina”.

Pół roku później dokładnie stało się tak, jak sobie zamarzył. Nawet pogoda dopisała...

– Taki był z Ciebie wielki chłop, a urna z prochami była taka mała... – myślałem, stojąc nad mogiłą...

Do dzisiaj nie chce mi się jeszcze wierzyć, że już Cię nie ma wśród żywych...

Tadzio często powtarzał: „Urodziłem się w Wilnie w 1940 roku przy ul. Uniwersyteckiej 4. I żyję nadal. Reszta jest milczeniem”... Nie, Tadzio, reszta nie będzie milczeniem... Ale skoro sam Pan Bóg zaprosił Cię na największe Twoje spotkanie autorskie, to pozdrow ode mnie Henia Cyganika, Jurka Tomaszewicza, Wilka Przeczka, Tomka Agatowskiego, Zbyszka Jerzynę, Czarka Leżeńskiego, Janka Juszczyka, Tadzia Chróściewskiego, Ankę Kajtochową, Jędrka Waśkiewicza i innych kolegów, wypijacie za moje zdrowie i trzymajcie tam dla mnie miejsce, przy stole z Panią Poezją, której nie każdy może mówić po imieniu i dzielić się opłatkiem nadziei i zwątpienia...

Andrzej Dębowski

Moja mała lampka nadziei

Tadeuszowi Kwiatkowskiemu-Cugowowi

Wiesz, Tadzio,
wczoraj oglądałem stare fotografie.
Sentymentalna łza
zakręciła się w oku.

Co też powyprawiało się na tym świecie?

Głosy „poetów”
bez skrzydeł,
czają się na historię ojców,
znieważają czkawką i kłamstwem
dusze kolegów.

Wyjedźmy do krainy Farlandii,
gdzie mistrz nie szuka nonsensu w poezji,
wyjedźmy do krainy szczęśliwości,
by wierszem powrócić
i olśnić,
i wiatrem rzeźbić,
by rosa kłębiła się łąką.

Czy istnieje coś,
czego dotąd nie brałeś pod uwagę?

Królu poetów i wariatów.
Czy wrócisz jeszcze do Wilna,
zbierzesz kości pozostawione w katyńskim lesie?

Ułańska fantazjo!
Karawano cyganerii,
zaprzęgnięta w złote konie poezji.

Nie płacz nad poezją.
Artysta nie może płakać,
kiedy troskliwie
pochyla się nad butelką.

Zawsze może wypić następną...

Zelów, styczeń 1998 r.

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (35)

(fragmenty)



W Borzęcinie zawrzało, jakby kto włożył kij w mrowisko: wieczorami organizowano pod kościołem pikietę, wiece, na wieży zawisła przez rok czarna flaga, co jakiś czas były słane do biskupa petycje i delegacje, a kolejnych nasłanych przez kurię księży wywożono poza granice wsi na bryczkach, co odbijało się dość mocnym echem w prasie peerelowskiej, czyhającej na podobne sensacje.

Moja mama do dziś wspomina, jak uratowała jednego z księży przed linczem.

Pamiętam, że – w trzeciej czy czwartej klasie – byliśmy też podzieleni na obozy „nitkowców” i „biskupowców”, czyli tych, których rodzice mieli ochotę iść na kompromis z biskupem tarnowskim. W końcu szalę przechylił sam ks. Nitka, który wręcz wyblażał, by parafianie z niego zrezygnowali i zgodzili się na narzuconego proboszcza.

Sam został „zesłany” przez tarnowską kurię do biednej podgórskiej wioski...

Rozpatrując po latach upór biskupa, można rzec, że dał on zbawienne skutki. Ksiądz Edward okazał się bardziej potrzebny, jako pasjonat-społecznik, w Paszynie zabitym dechami, niż w dość zamożnym Borzęcinie.

Dziś w Paszynie na dźwięk nazwiska proboszcza ludzie ożywają się i uśmiechają serdecznie. Pamięć o Nitce jest tu wciąż żywa, jakby odszedł stąd wczoraj, a przecież minęło ponad ćwierć wieku od jego śmierci. Starsi pamiętają jego celne powiedzonka, anegdoty i mądrości wypowiedziane półzartem. Młodszy wiedzą, że istniał ktoś taki, kto jest legendą tych okolic.

Stanisławowi Kruczkowi wbiło się na przykład w pamięć jedno zdanie Nitki: – Nie bądź „chłopce” w życiu tylko przeciętnym zjadaczem kapusty, próbuj też coś dać od siebie innym. – Może dlatego Kruczek pisał potem przez lata funkcję radnego i był wójtem?

Jeden ze starszych mieszkańców tej wsi, Jan Kozuch, pokazuje mi zdjęcia z Nitką, zapewnia: „Drugiego takiego człowieka nie

było i nie będzie!”. A jego syn Stanisław na moje pytanie, co Nitka zrobił takiego dobrego dla Paszyna, wyrzuca z siebie: „O Jezu, a to zrobił!”. I pokazuje mi zachowaną w albumie rodzinnym fotografię księdza z grupą około pięćdziesięciu „bejdoków paszyńskich”, czyli ludzi niedorozwiniętych – na wycieczce nad morzem... „Czy pan wie, co to było dla nich, że ksiądz po raz pierwszy się z nimi sfotografował i pokazał im świat inny niż Paszyn, nie wstydząc się ich?”.

Edward Nitka urodził się w Ropicy Polskiej. Ukończył gimnazjum w Gorlicach i seminarium w Tarnowie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1944. Był kapłanem AK (pseudonim „Edek”). W Paszynie proboszczował w latach 1957-1981. Zmarł na serce 12 sierpnia 1981. Niektórzy twierdzą, iż przyczyną zawału była wielka radość z powodu kolejnego sukcesu Paszyna, inni, że – zmartwienie, bo pewien krytyk wyśmiał w felietonie jego „dłubacy”, jeszcze inni, np. Antoni Kroh, uważają, że do śmierci przysłużyło się napięcie polityczne w kraju i groźby o wejściu Rosjan. Widziano go śmiejącego się, ale widziano też płaczącego, gdy mu nie szło; reagował na wszystko bardzo emocjonalnie. Bogatszej części społeczności paszyńskiej nie bardzo podobało się, że wychwał za ambony biedniaków. Podejrzewali, że za jego altruizmem kryje się jakiś biznes. Tylko Franciszek Pałka wiedział, że Nitka, aby zdobyć pieniądze na popieranie paszyńskich twórców – sprzedał m.in. prywatny obraz Kossaka.

„W Paszynie była kiedyś bieda, nędza i głód – lubił żartować ksiądz pod koniec życia – a pozostał tylko Głód” (tak nazywał się jeden z najzdolniejszych rzeźbiarzy paszyńskich).

Najpierw proboszczowi Nitce zamarzyło się, żeby wieś podnieść ekonomicznie, namawiając ludzi do uprawiania wikliniarstwa. Jakoś to nie wyszło. Rzeźbienie było jego kolejną społeczną fantazją, która o dziwo chwyciła. Antoni Kroh, etnograf, pisarz i przyjaciel księdza Nitki – stał się mimowolnym sprawcą publicznego zaistnienia paszyńskiego fenomenu, gdy pracując w Muzeum Etnograficznym, wymyślił Konkurs Współczesnej Rzeźby Ludowej Karpat Wschodnich. I na tym konkursie właśnie, na początku lat 70., pierwsze nagrody zgarnęli świątkarze z Paszy–na: głuchoniemy Wojciech Oleksy, Józef Orlecki, Andrzej Głód, Mieczysław Piwko. Ich szczerłość wypowiedzi, chropowatość formy, naiwna prawda artystyczna – zachwyciły znawców. A potem wygrywali już wszędzie. Kroh wymienia trzy czynniki, które przyczyniły się do powstania zjawiska artystycznego zwanego Paszyn: „Po pierwsze – autorytet lubianego księdza. Po drugie, fakt, iż PRL propagandowo hołubił artystów ludowych, dając pieniądze na konkursy, wystawy, kiermasze. Po trzecie, moda na sztukę ludową w świecie”.

Gdy wieś stała się sławna, bo dziennikarze garnęli się tu jak muchy do miodu – sami

mieszkańcy uwierzyli, że nie są gorsi i głupszy od sąsiadów z okolicznych wiosek. „Wiara księdza Nitki w tych ludzi uczyniła cuda” – podsumowuje Kroh.

Dzieci uczęszczały na zajęcia do „szkółki” rzeźbiarsko-malarskiej.

Niedorozwinięty głuchy dzwonnik Wojciech Oleksy, który całe życie paszał krowy, po obejrzeniu siebie, rzeźbiarza, w telewizji wypowiedział sakramentalne zdanie: „Wada buba. Otu pana”, czyli „brat Władysław niech teraz pasie krowy, ja będę panem”!

Ksiądz Edward w paru grubych księgach rejestrował osiągnięcia paszynian, wpisy sławnych ludzi odwiedzających wieś, zdjęcia artystów wraz z pracami. Ponieważ był z usposobienia marzycielem – cieszył się jak dziecko z każdego sukcesu, wyolbrzymiając go w wyobraźni.

Nagła śmierć księdza – a zmarł, mając 61 lat – postawiła znak zapytania nad całą jego schedą. Na szczęście nie została ona roztrwoniona, do czego walnie przyczynił się ksiądz prałat Stanisław Janas. Nie pozwolił, by zbiory uległy rozproszaniu, a pamięć o poprzedniku zaginęła. Zdopingował paszynian do zbudowania sal muzealnych i doprowadził – w połowie lat 90. – do oficjalnego otwarcia Ośrodka Sztuki Ludowej im. księdza Edwarda Nitki, który pozostał do dziś oddziałem Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie. Muzeum odwiedza wiele wycieczek. Ekspozycje świątków z Paszyna wędrują po Europie, wypożyczane przez zagraniczne muzea. Obecny proboszcz też stara się jak może kontynuować dzieło poprzednika, choć czasy inne.

– Czy możliwa jest dziś nieskazona wpływami sztuka prymitywna – zastanawia się Franciszek Pałka – gdy kultura masowa dotarła poprzez mass media dosłownie wszędzie i można podpatrywać i naśladować obce wzory? Trudno się dziwić, że rzeźbiarski Paszyn z czasem nie mógł się oprzeć obcym wpływom i z latami jakby zagubił swój styl. Ale to normalne. Sztuka ludowa w epoce globalizacji staje się coraz częściej białym krukiem lub w ogóle zanika wraz z kulturą chłopską.

W trzynastu pomieszczeniach dwupiętrowego muzeum na 350 metrach kwadratów zgromadzonych jest ponad 3 tysiące przejrzyście wyeksponowanych rzeźb w drewnie, świątków, obrazów na szkle, płaskorzeźb. Każdy eksponat opisany, ze zdjęciami autorów. W muzeum z prawdziwego zdarzenia, o którym marzył kiedyś ksiądz Nitka – znalazły się owoce jego pedagogicznej działalności, a po ludziach, których już nie ma – pozostał artystyczny ślad. Ślad istnienia Piwki, Drożdża, Oleksych, Miłki i około setki innych twórców, którzy kiedyś odkryli w sobie smykałkę do rzeźbienia i malowania, a może coś więcej, co niesie z sobą każdy choćby najbardziej naiwny i nieporadny akt twórczy...

cdn.

Dwie poetyki kobiece

W tym krótkim szkicu chcę przedstawić dwie poetyki kobiece autorek, które różnią się między sobą doświadczeniem co najmniej dwóch pokoleń. Dzieli je więc nie tylko wiek, ale i usytuowanie w świecie, w stosunku do innych ludzi, istot żywych, sensu własnej egzystencji. To, co je łączy – to niewątpliwie pozytywny stosunek do świata.

Ciekawą i obiecującą poetką młodej generacji z Trzebuni w Małopolsce o ogromnej wrażliwości jest **Jadwiga Malina**, autorka czterech tomików wierszy, związana z Myślenicami i tamtejszą grupą poetycką „Tilia”. W wierszu pt. „Czułość” zdradza swoje kobiece preferencje, pisząc: „Ona nie czeka na nagrodę / bo sam jest nagrodą / i skarbem który chce się mieć zawsze / przy sobie / przed nią obojętność / byle co / za nią cielesność / lada co / ona jedna całuje nas na powitanie / w czolo”.

Jej poezja ma dwa zasadnicze wymiary: tkliwość oraz kontemplacyjność. Potrafi bardzo delikatnie – jak kwiaciarka wiązanki kwiatów – ze słów budować bardzo dopracowane pod względem estetycznym wiersze. Jest również miłośniczką życia małomiasteczkowego, bliskich odległości między ludźmi oraz wszelkich form życia roślinnego i zwierzęcego, które pilnie i z uwagą obserwuje, przyglądając się im z perspektywy ludzkiej świadomości, upływu czasu, danej w pełni jedynie człowiekowi, choć może i odczuwalnego instynktownie u innych istot żywych. Jej tomik „Strona obecności” zawiera całą plejadę skrupulatnie skrojonych wierszy, w których podmiot liryczny w swych dyskretnych przeżyciach buduje swą obecność nie tylko w bezpośrednio danych jej doświadczeniach, ale również przez nie sięga w tajemnicze głębi kosmosu. W wierszu pt. „Zieleń” pisze: „Ta zieleń która / wszystko przerasta / która wszystko sobą obdziela / im dłużej na nią patrzysz / tym trudniej jej osiągnąć / panoszy się w pokojach / we włosach naszych dzieci / choćby ją zamknąć na klucz / przeciśnie się / jak ciepło / i pójdzie dalej / ogluszając spojrzenia”.

Poetka lubi również studiować płótna malarskie i wnikać w ich głębie, by dotknąć owych przysłowiowych atomów jakości zmysłowych. Kiedy staje przed obrazami Tadeusza Brzozowskiego, czy Vincenta Van Gogha, czas jak żyłotka włosy odcina ją od przeszłości i przyszłości, staje w swoim „teraz” jakby uczestniczyła w życiu tych obrazów, a dzięki tej osobistej identyfikacji i animacji ich treści mocniej podkreśla swą obecność w świecie. Wczuwa się również w detale świata poezji Tadeusza Różewicza z taką samą uwagą, kiedy studiuje budowę chrząszcza, lot ptaka i pracowitość mrówki. Z przekąsem przypomina, że jak umrze poeta, to nic się nie stanie, bo przecież: „nikt nie rzuci palenia”.

Jest lekarką, pediatrą, immunologiem i sądzi, że pisanie pozwala jej lepiej widzieć piękno oraz smutek naszego świata, ale i cieszyć się życiem z innymi ludźmi. Mamy tu na myśli **Annę Pituch-Noworolską**, która opublikowała już czwarty tomik wierszy. Ostatnio bowiem ukazał się jej zbiór pt. „Wiersze rozsypane”. Zamieszczone tam utwory zostały zebrane w pięć części. Ukazują one rozliczne inspiracje literackie autorki, jak: podróże, sztuka, przemijanie i upływ czasu, ale i kolory obcowania z ludźmi w życiu codziennym. Całość stanowi coś na kształt złożenia w jedną całość kilku dzienniczków poetyckich. Poetka zdaje sobie znakomicie sprawę z ulotności poezji, a w wierszu – „Poezja” przypomina, że po śmierci poety „(...) Kurz zjadł biel kartek. / Zbladły niemodne zwroty, / Przeszarżała słowa. / W szufladzie cisza i milczenie czasu. / Nowa ulica, nowy poeta / Jeszcze słyszalny, / Jeszcze obecny, / Jeszcze...”.

Pomimo wszystko nie traci nadziei i ciągle się dziwi, że ten nasz świat jest taki piękny i ponętny; jest go coraz bardziej głodna i fascynuje się nim w różnych sytuacjach. Z uwagą studiuje znaki czasu, ale i w ciszy udaje się jej porozmawiać w samotności z sobą, podzielić się swoimi wątpliwościami na łonie przyrody z Bogiem. Te spotkania rodzą w niej potrzebę pisania psalmów, które przypomina ją, że w naszym życiu – jak u Platona – poruszamy się jak cienie i nic namacalnego po nas pewnie nie zostanie.

Często inspiruje ją miłość i z uwagą zagłębia do jej ogrodów. Ma ona dla niej różne wymiary: cielesny, duchowy, uczuciowy, ale i erotyczny. Właściwie widzi i odczuwa ją totalnie jako radykalne przeciwieństwo gwałtownych ludzkich relacji, przepelniony „bólącymi słowami i gestami”, spychających nasze istnienie w otchłań chaosu i zagubienia. Uważa, że najważniejszą wartością nadającą sens istnieniu jest wyciszenie, spokój wręcz stoicki, który pozwala cieszyć się życie własnym oraz innych ludzi, ale i istot żywych. Tak czy owak – podkreśla poetka – jesteśmy kolekcjonerami naszego pofragmentowanego życia, a właśnie spokój i wyciszenie pozwala w listopadowe wieczory ułożyć z tych kawałków własną drogę ku przyszłości. W wierszu pt. „Cma” poetka dokonuje jakby rachunku sumienia ze swego życia, które nie było przepelnione furiami namiętności i zapytuje: „(...) // Więc / Po co, dlaczego i w jakim celu / Jestem obdarzona / Niezrozumiałą, niepoahamowaną, samobójczą / Miłością do świata...”. Wydaje się, że w tym przypadku jest to kokieteria poetki, bo przecież w swych wierszach dowodzi, że właśnie ta miłość ze swej natury ma sens i pozwala godziwie żyć w przyjaźni z całym światem, a to stanowi przecież wiodącą treść szczęścia nie tylko autorki, ale wielu jej bratnich dusz, do których kieruje swe wiersze.

Nie trudno zauważyć, że w przypadku obydwóch autorek – tym co upodabnia te

poezje do siebie – jest emocjonalne, a nawet miłosne doświadczenie i przeżywanie świata w całości, ale i każdego jego elementu z osobna. Klimat tych wierszy jest niewątpliwie liryczny, momentami nostalgiczny, choć liryki te są nie tylko wywoływane bezpośrednim doświadczeniem zmysłowym, ale i pogłębianą refleksją metafizyczną nad kondycją naszego w nim istnienia, jego przemijanie, ale i niedoścignionym, transcendentnym poniekąd względem niego piękna, które ostatecznie wzbudza w nas potrzebę jego podglądania, obcowania z nim choćby w formach zmysłowych, i dążenia do jego pełnego udostępnienia, w czym miłość jest ta najwyższa siłą sprawczą.

prof. Ignacy S. Fiut

Jadwiga Malina, „Strona obecności”. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2010, s. 56.

Anna Pituch-Noworolska, „Wiersze rozsypane”. Redakcja Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Wydawnictwo Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 80.



Poszukiwanie wartości

Każdorazowo, gdy uczestniczę w festiwalach poetyckich, z zainteresowaniem czekam na wiersz prezentowany przez **Andrzeja Dębkowskiego**. Jak się zazwyczaj okazuje, spotykamy się z poezją zaangażowaną, w najbardziej szlachetnej postaci.

Bardzo bliskie pisarzowi z Zelowa (nie tylko w tekstach poetyckich) są przesłania uniwersalnego humanizmu, sformułowane przez Tadeusza Kotarbińskiego, a ideałem ludzkiej obecności w życiu – człowiek spolegliwy.

Okazuje się, że w wydanym w 2013 roku tomiku wierszy „Do wszystkich niedostępnych brzegów...” Andrzej Dębkowski pozostaje sobie wierny.

Już w pierwszych wierszach, zazwyczaj pełniących funkcję credo, w przeżywanym czasie, nazwanym w cudzysłowie *cudownym stuleciem*, cywilizacja niebezpiecznie rozmija się z kulturą. W nim często *traciłem poczucie psychicznej równowagi, wszystko ulega deformacji... marksściści mówią, / że to dialektyka, / a to tylko kolejne obrazy*. Ratunkiem staje się *zapach oranej ziemi i że O świecie, / kościoły, cerkwie i meczety* (ekumenizm w czystej postaci!) *rozblęty kopułami światła*.

(Dokończenie na stronie 18)

Poszukiwanie wartości

(Dokończenie ze strony 17)

W wyjątkowych realiach przychodzi dziś tworzyć poecie: ... wrażliwość / nie jest dziś w cenie / na poetyckiej giełdzie. Najlepsze wiersze wypływają... kwaśne deszcze nienasyconej niezgody... bo kruk już nie jest ani biały / ani czarny. Coraz rzadziej odważamy się krzyknąć, / że nasze wiersze boją się wychodzić na ulice.

Miłość, a także i przyjaźń, nie są trwałe: Ci, którzy nas kochali / tracą zmysł równowagi / i sprzedają nas / za resztę (sic!) z trzydziestu srebreników.

Co pozostaje współczesnemu poecie: *Powrót do pytań* (nie odpowiedzi) *najprostszych / o potrzebę i cel tworzenia / jest powrotem artysty do stanu suwerenności*. W programie poetyckim odnajdujemy optymizm: *A ja. Jestem tutaj / Paradoksalnie uwiarygadniający swoje wiersze / nieustannymi zapewnieniami, że twierdzenie / o śmierci poety i poezji jest bezsensowne* (nieskalane są tylko pragnienia). Już same tytuły wierszy stają się wskazaniem: „Potrzeba oczyszczenia”, „Potrzeba zbudzenia”, aż chce się dodać: Potrzeba poezji w każdym czasie i miejscu.

Odnajdujemy zauważenie drugiego człowieka: *nie odchodź / nie zostawiaj wschodzącego słońca / jesteś potrzebny*.

W polskiej historii – rozrywanej wojnami, bitwami, krótkotrwałymi zrywami, nieustającymi swarami – nic się nie zmienia, co uświadamia wiersz „1989”: *Strzép świtu – jak dawniej / umiera nowymi decyzjami... A na szkarłatnych wargach / Znowu ta sama pieśń; zatrzymany / w połowie drogi do celu / geniusz / dusi się swoją słabością... na gruzach upartej historii / składa jałmużnę z przegranych dni / i zwyczajnych nadziei... dumnie szukając / szacunku / dla własnych wielkości / sprzedajemy godność / w interesie życia*. Wypada zakończyć klamrą: Dziesięć milionów Polaków uwierzyło w słoneczny poranek, a tak niewiele wiarę przehandlowało.

Andrzej Dębowski przywołuje sielską młodość, której wspomnienie zniweczyła urbanizacja: *Dwadzieścia lat temu / dookoła mojego domu / ...na bosaka chodziliśmy na ścierniska – / dzisiaj stoją bloki. / Dwadzieścia lat temu / dookoła mojego domu – / mieszkali ludzie*.

Rozprawia się z wadami tych rodaków, którzy w ogrodzie zawiści / ... w białe – czerwonych opaskach / niszczą swoje dzieciństwo / nie proszą / chore matki / o przebaczenie.

Pięknie i zarazem wrzuszająco ukazuje poeta zmaganie z upływającym czasem w wierszu dedykowanym Babci Anastazji (z którą jego rodzina dzieliła dom): *Więc moja podróż dobiega końca? / Jesień prosi mnie o chwilę rozmowy? / Przytulcie mnie do drzewa / obmyjcie wodą z górskiego strumienia, / a na*

grobie złóćcie kawalki nieba, / które wciąż trzymam w kieszeni starego płaszcza.

Odwieczne, od czasów starożytnych ocząwszy, pragnienie człowieka, by być ptakiem; bowiem tylko niebieskie są ptaki, ich śpiew nie zna przemijania – spotykamy w wierszu „Mijanie”: *dlaczego nie jesteśmy ptakami / one wiernie służą powietrzu... w rytm niegdysiejszych układów... mkną / coraz wyżej i wyżej / bez końca*.

Strofy poświęcone Wojciechowi Siemionowi, Artyście Słowa, rodzi pamięć podarowaną przyjacielowi:

Pamiętasz bosego chłopca pochylonego nad książką, gdy podkradał rozwiane Kresami słowa. To wszystko stało się zanim księżycowy uśmiech przeżył przypomnianą legendę sprzed lat.

Dębowski zadaje rudymentalne pytanie dotyczące każdego z nas: *w wieku informacji / można zdobyć wiadomość z dowolnej dziedziny, / oprócz elementarnej / – skąd jestem*.

Czytelnik, poszukujący wartości we współczesnym, dotkniętym kołowacizną świecie, może je znaleźć w recenzowanej książce Andrzeja Dębowskiego.

Paweł Kuszczynski

Andrzej Dębowski, „Do wszystkich niedostępnych brzegów...”. Wydawnictwo Autorskie Andrzeja Dębowskiego, Zelów 2013, s. 64

Czyste, zwyczajne, proste

Brałam do ręki tomik Ireny Tetlak z lekkim wahaniem. Tomik „Lilak”, przypomnę, że debiutancki, prezentuje się słonecznie. Na okładce – kwitnący bez i fragment domu, takiego swojskiego, wykończanego drewnianą jasną boazerią. Przychodzi na myśl wyraz „sielanka”. Ale to tylko pozory, bo w tomiku tym jest, po słońcu, bzach i półcieniach, również deszcz i ulewa.

W poezji Ireny Tetlak znalazłam to, od czego tak daleko czasem odchodzimy zacządzeni poezją. Poszukujemy mocniejszych fraz, obrazów bardziej krwistych, zaskakujących porównań i wrzenia. W „Lilaku” wszystko jest czyste, zwyczajne, proste, a przecież również bywa i tam pochmurnie, skomplikowanie, niepięknie.

To książka o kobiecie, która umie być, zachwycać się urokami obcych miast, ale patrzy też najbliżej i wie, że „urok wiosny nie daje się złapać jak zwykła deszczówka”, a „czarna kawa działa jak przytulenie”.

Ona umie przyjaźnić się z codziennością. No bo jak inaczej, niż przyjaźnią, określić taką jej deklarację: „z pomidorowym rumieńcem / na przekór Rubensowi / wrzucę sporo oregano / nagość przysłonię delikatnie listkiem

bazylii”?

Podmiot liryczny stworzony przez Autorkę jest i podróżniczką, i kobietą domową. Przyznaje otwarcie, że „wczesnym czerwcowym popołudniem 2011 roku we Florencji / gdy spotkałam się z Dante Alighieri też zapomniałam języka w gębie / a mogłam mu powiedzieć że Włosi go uwielbiają – teraz tak sobie myślę / smażyć racuszki z jabłkiem i śliwkami”. I nie przejmując się przelotnym deszczem, kiedy „świat jakby owinął się folią / lekko szeleści dżdży lśni”.

Dopiero później „myśli obraca w jedną stronę jak klucz w drzwiach” kiedy trzeba zmierzyć się ze stratą, z burzą. I postanowić, co dalej.

Można ból opisywać w niezliczonej liczbie form i dramatów. Używać wszystkich odmian tego słowa a przecież w wierszu bez tytułu *** (brudy brudy brudy) nie ma słowa „ból”, tylko wiersz jest taki „bólący” i wrzuszający:

*brudy brudy brudy (...)
obce zapachy
ślady szminki
zazdrosne uśmiechy
usunę
może nawet coś odzyskam (...)
wypiorę w balii na tarze
w mydlanych płatkach albo na brzegu
w rzece po kolana zetrę kamieniem
wypłukam w strumieniu
czyste rozrzucę po łące
rozwieszę w lipowej alei
niech załopoczą pachnące
świeże prześcieradła
niciansie ażurowe firany
lniane obrusy i białe koszule*

*a potem zanurzę się cała
w wodzie aż po same usta
jedynie policzki do wiatru przytulę*

Jak widać bohaterka „Lilaka”, podobnie jak jego Autorka, to nie kobieta, „Lilakowa Panienska”. Ona mocno stąpa po ziemi i wie, że „szalik jak to szalik / ociepla tylko wizerunek”. Kiedy jednak trzeba – umie przedzierać się przez różne strony swoich światów, ufając, że „zło też ma swój finał”.

Niekiedy musi jej wystarczyć, że jest tylko widok z balkonu i zielona herbata. I wystarcza.

By wierzyć, że życie ma sens.

Turkusowe madonny

*stoją po szyję w chmurach
nogi chłodzą w oceanie
turkusowe madonny
widzą w słońcu
więcej*

Irena Tetlak nie tylko opowiada, podsuwając nam piękne przestrzenie i obrazy. Pokazuje też wady życia i jego porażki. Potrafi wprowadzić nas w świat uczuć, znajdując sposób na przekazanie swojej wrażliwości

jasno, prosto, zwyczajnie, bez patosu i „czarowania” czytelnika. Zwyczajnie, jak robi to lilak – czasem nagi, czasem zielony, a czasem skąpany w zapachach i barwach, które tak kochamy.

Podsumowując – uważam debiut Ireny Tetlak za bardzo udany i przewiduję, że tomik „Lilak” znajdzie swoich wiernych czytelników.

Roma Jegor



Irena Tetlak, „Lilak”. Redakcja i posłowie: Andrzej Dębowski. Projekt i zdjęcie na I stronie okładki: Irena Tetlak. Zdjęcie na IV stronie okładki: Magdalena Tulejska. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2013, s. 68.

Czarodziej z doliny Narwi

*Czas jest rzeką, która mnie porywa,
ale to ja jestem tą rzeką.*

Borges

Przestrzeń i czas wyróżniamy jako zwykłe „sceny” przez które przechodzi nasze życie. Życie jest tylko metaforą, zmyśleniem: poetą posiadającym pełną wizję świata, „jest jakiś nowy instrument, / jakaś gra, w którą wchodzi. / Inna, błyszcząca świeżością / twarz tego chłopca. / Który we mnie obraca się jak we śnie.” Poeta wypowiada słowa, które niewiele mówią – i mówią wszystko. Każda sylaba ożywiona podwójnym życiem – jasnym i ciemnym „która nas ujawnia i ukrywa”. Do niej uciekamy się – jak chcemy w szczególny sposób oświetlić uniwersalną sytuację człowieka. Poezja Henryka Gały pełna najwyższej rzeczowości – wypełniona treściami emocjonalnymi i filozoficznymi wiersza – wówczas jedna fraza może odzwierciedlić sytuację życiową – jej czystość jest czystością rzeczy: „I nie tylko świadomość kontempluje (Octavio

Paz) samą siebie w swoich wodach przezroczystych i pustych, które są lustrem i okiem równocześnie, jak w poemacie Valéry’ego nicość, która udaje formę i życie (...) zakochuje się w sobie, zapada sama w siebie, niezmordowana śmierć nieskończona”.

Na pytanie: co proponuje nam Czarodziej z doliny Narwi – poeta, prozaik, autor sztuk teatralnych – ostatnio wydanego zbioru wierszy „Gdzie rzeka zawiała” Henryk Gała z Drozdowa – gdzie nie czuje się samotny czy też odosobniony (przekroczył swoją samotność, żeby przeżywać ją jako obietnicę wspólnoty). A więc proponuje nam – lekcyj wyrazu. Nie ulega kwestii, że obowiązkiem pisarza jest wierność językowi „dzięki pisarzowi amorficzny, horyzontalny język dźwiga się i indywidualizuje”. Jest poetycką czynnością – kiedy mówimy: „w tej chwili”, a chwila już minęła. Był kiedyś taki czas, który nie był następstwem i mijaniem – ciągłym upływem terażniejszości, w której mieściły się wszystkie czasy, przeszłość i przyszłość. Np. u Azteków czas wiązały z przestrzenią – a każdy dzień z jedną ze stron świata.

Poeta wybrał stronę świata „w tym miejscu, gdzie krajobraz ma ludzkie proporcje.” – „zawiera utwory inspirowane przyrodą, historią i ludźmi tej części Dolina Narwi.” Autor nazywa to miejsce księstwo narwiańskim. Tam, gdzie żona Irena „wśród ptaków, wieczorem, pod zorzą ciemności” – wyszywa własne ściegi na drzewach.

Natomiast wiersz „Definicje – ściągawka dla Oli” podziwiam za rzeczowość poetycką, która nie ma nic wspólnego z wizją apokaliptyczną:

*Śmierć,
Śmierć schowałem do pudełeczka
po zapalkach, jak świerzcza.
Noś przy sobie. Nie otwieraj,
ale pamiętaj.*

Chciałoby się dodać, że nasza śmierć wyjaśnia nasze życie. Niektórzy mówią, że śmierć jest nieprzekazywalna, tak jak życie, i „Poezja, Oczywiście, co to – nie powiem, / ale niemożliwe tylko w niej”. Poezja rodzi się w owej nadnarwańskiej krainie – obfituje „w poetyckie metafory (one są wszak głównym nośnikiem obrazów poetyckich) i filozoficzne podteksty” – za filozofa uznajemy poetę, który wypracował pewien myślowy system, pełnią swoich zdolności – od początku naznaczony tajemniczością, będący nosicielem pewnych idei lub stanów psychicznych. Poezja Gały – idzie w kierunku epiki – liryka o właściwie epickich zamierzeniach. Jej głównym zadaniem jest nazwanie świata – wyszukanie takich słów, sformułowań, które opisać widzialną rzeczywistość w najbardziej precyzyjny sposób:

*Nasze sosnowe wzgórze wygląda jak boża łyżka,
którą Pan wpieprza tę swoją wieczność.
Albo jak zatoka czasu,*

*nadrzeczne ucho łąki.
I powietrza oko, z którego patrzy się
poza śmierć.*

(„Okno”)

Przez wiele lat oknem na świat poety był Wrocław – w roku 1976 poeta opuszcza to miasto i wyjeżdża do Łomży w celu organizowania „kultury w nowych miastach wojewódzkich”. Został poddany jakby podwójnemu ciężeniu. Zamieszkał w Drozdowie nad Narwią koło Łomży – obok rezerwatu przyrody „Kalinowe”. W Drozdowie mieszka trzydzieści lat. Poeta naszych czasów powinien zgłębiać rzeczywistość. W nowym miejscu zamieszkania powstają wiersze i poematy „Ciemne czółno” w którym wspomina nieżyjących przyjaciół, którzy bywali w drozdowskim domu –np. Pani Maria Niklewiczowa, ostatnia dziedziczka Drozdowa, córka Wincentego Lutosławskiego.

„Gdzie rzeka zawiała” – poemat, w którym poeta rysuje sytuację realistycznie „To miejsce nazywa alf dom – (...) Nazwałem je księstwem, / Prawem do tego było, że jestem poetą / i jako poeta, na tej ziemi znalazłem gościnię. (...) Jestem jednym z nich, / jednym z żyjących w tym miejscu”. Słowa są po to, aby zniknęły zaraz po tym, kiedy zostaną wypowiedziane – służą tylko momentowi porozumienia (podporządkowane rzeczom) ale te słowa same stają się teraz rzeczami – i nie są niczemu podporządkowane – ich przeznaczeniem było trwanie.

Oto „Zimowa rozmowa z Trawą”, która może stanowić wcielenie anielstwa i diabelstwa zarazem:

*– Taka błada jesteś teraz,
w odcieniach śniegu a niebotyczna byłaś
I wiatr rozwiewa twoje siwe duchy
po sinych pastwiskach zamarzniętej łąki*

*– Trzeba położyć się we mnie
a wyższa będę od nieba
Otworzyć oczy serca
i odwinąć z lodu ciemne wody rzeki
Teraz zielona jestem, widzisz?
Jak początek świata, głupcze.*

Może „nie wolno zbyt głośno przywoływać aniołów, jeśli nie chcemy obudzić dzikich bestii.” Albo „Trzeba się trochę pomniejszyć, żeby być człowiekiem – mawiał w takich sytuacjach Gombrowicz”.

Poezja Gały objawia rzeczywistość, ale nie tą zewnętrzną i racjonalną, ale także tą wewnętrzną i irracjonalną. Mówi nam, że sztuka to sprawa indywidualna, bo jest wizją rzeczywistości „postrzeganej” przez jego osobowość. Poeta opisuje swój raj (nieutracony) rozszerzając jego granice:

*Po dolinie wiatr trawom barwy turla,
sykim szumem drzewom liście czyści,
sadam po kątach szeleszcząc cienie sadzi*

(Dokończenie na stronie 20)

Czarodziej z doliny Narwi

(Dokończenie ze strony 19)

(...)
Wiesz który świerk, a który modrzew syczy,
kiedy turla wiatr czerwcowy po dolinie Narwi.

(„Každemu w Tych Strofach”)

Zwróćmy uwagę, że sposób widzenia świata – poety z Drozdowa przejawia się w języku – pragnąc wyrazić swoje odczucia i doznania – stara się wyrzeć wpływ na stan ducha innych (nawet szarego człowieka), skłonić do działania albo do refleksji związanej z wiarą i złudzeniem, obawą i nadzieją.

Henryk Gała – poeta krajobrazu, czarodziej z doliny Narwi (miejsca przynależnym poecie, któremu z biegiem czasu pojawiały się rekwiizyty dnia codziennego – jak rzeczywistość, która się z nikim nie umawiała, ale po prostu jest). Obrazy zatrzymane w kadrze, jakby pragnące wyłamać się z niewoli form, ale przy tym nie pozbawione poetyckiego kunsztu. To nieustanna tęsknota – za ogarnięciem wszystkiego co nas otacza. Dążenie do syntezy życia własnego i społeczności, w której przyszło mu żyć.

W każdym okresie naszej rodzimej literatury istnieje kilku poetów, którzy zostają przyjmowani przez szersze grono – jest w tym znacnym gronie miejsce dla autora wyboru wierszy „Gdzie rzeka zawiła” Henryka Gały...

Andrzej Gnarowski

Henryk Gała, „Gdzie rzeka zawiła”. Wydawca: Fundacja Narwańska, Drozdowo 2012.

Muzyka, mistyka i wiersz

Alicja Tanew jest poetką w wyjątkowy sposób osobną: w swej piwnicy pielęgnuje „Scenę ATA” i na niej śpiewa – nie tylko to, co sama napisała. Pisze – „typowe” teksty do śpiewania, a głównie wiersze do wyśpiewania. Ale nie tylko. Zatem będą to wiersze z rytmem i rytmem, jakby „klasyczne”, ale i wiersze we współczesnej konwencji formalnej. Właśnie w owej formie widać różnicę, poza tym to liryka pełna uczuć, niepozbawiona refleksji, sięgająca i po egzystencjalne klimaty. W jej tomikach dominują miłość i muzyka.*)

Może te słowa winny wienaczyć refleksje o tej poezji, lecz stosowniej chyba będzie zamieścić je jak uverture – myślę o wypowiedzi Michała Zabłockiego: „Tanew cofa bieg historii. Tworzy coś, co można nazwać mia-

nem estetyki retro (...) jest w tym tak autentyczna i przekonująca, że aż odkrywczą”. I na końcu: „poezja nastroju obroni się w każdej epoce.” I jest to właściwie summa. Choć zawsze warto poszukać „czynników pierwszych” w twórczości autora, przecież on tworzy i tworzy jakiś ciąg.

Lektura wierszy tej pieśniarki i poetki rzeczywiście każe coś odkrywać – coś, co od dawna lśni w słońcu? Czemu nie, skoro już owo słońce nas do siebie przyzwyczaiło? Niby wiemy, że niczego „nie można zacząć / bez wiary”, ale wreszcie mówimy: tak! Tak jest. Wiemy, że „wina / zawsze jest niczyja” ale – to MY chcielibyśmy nie być winnymi. To mówi ktoś, kto sporo wie o życiu i do siebie szepce: „tyle już ostów / wbiło mi się w myśli”.

U Alicji Tanew miłość bywa szalenie zmysłowa („Umówmy się na pożądanie”), delikatna i tkliwa, lecz i nieco drapieżna, podszyta racjonalnym przecuciem:

Mówię do ciebie
puszystymi włosami
(...)
nocą
zobacz mnie
dnem

Inaczej jest w wierszu „Na wadowickim moście” (pamięci Emila Zegadłowicza). To na tym moście:

stoi miłość
czeka
(-)
na wadowickim moście
stała miłość
nikt nie wie dokąd odeszła
ktoś powiedział, że potrafił ją samochód
ludzie uwierzyli

rzeka nie

Jan Poprawa przypomina, analizując własnie wątek miłości w poezji Alicji Tanew, że uczucie to nie podporządkowuje, statystyki jej nie dotyczą. Jest na dobrą sprawę jedną z niewielu sfer, w których człowiek naprawdę bywa wolny. Nie da się na rozkaz pokochać i ‘przez rozum’ zaprzestać kochania”. Trochę podobnie jak z czasem – nigdy jego biegu nie wstrzymamy. I cóż z tego, że wciąż pamiętamy myśl Seneki: miłość to największa słodycz i największa gorycz na świecie – gdy miłość nawiedza, drzwi zawsze otwarte. Jak w poniższym fragmencie wiersza:

Zamienię kurtkę na miłość
niech będzie
co ma być

Niekoniecznie sfera uczuciowa inspiruje autorkę do pewnych językowych eksperymentów, jednak akurat w wierszach o tej tematyce widać najwyraźniej próby zabawy językiem konstruowania kalamburów. Fraza:

Kocham cię w słońcu
kocham cię w księżycu

przypomina zdecydowanie, Gałczyńskiego, ale już fragment:

Mówiłeś
na łące rosną zawiłce
a może zawijańce
ale na pewno gdzieś
rosną zakochańce

mógłby napisać inny z mistrzów słowa. Owe zabawy leksykalne to nie tylko urocze uśmiechy do czytelnika, to także udane próby poszerzenia znaczeń. Alicja Tanew, by śpiewać, dba o semantykę każdego słowa, wprost znaku.

Ogromną rolę odgrywa tu muzyka (same słowa „starają się” śpiewać); już niektóre tytuły wierszy budzą muzyczne skojarzenia: „Preludium białego bzu”, „Marzenie wyśpiewane” czy „W muzycznych przestworzach” gdzie bohaterka liryczna wyznaje: „Chciałabym się spotkać w niebie / z Luisem Armstrongiem”. Jakby artystycznym marzeniem z kolei będzie chyba oniryczne wspomnienie:

obok mnie usiadł Chopin
też się uśmiecha
zachwytem

Lecz muzyka tu panuje wszędzie, zwłaszcza w lirykach, erotykach. Nie da się tego oddzielić – i świetnie! Cóż jest warta liryczność bez śpiewności? Przestaje być liryką...

Ważnym i poważnym aspektem będzie w twórczości poetki Czas. Oto tytułem ukazania swego rodzaju egzemplifikacji powyższej tezy:

Moja zwiewna zasłono
rzęso spadająca
zakryj wstyd przemijania

To nienapawająca nadzieją refleksja, skarga; lecz i swoista prowokacja – bohaterka wiersza jest świadoma roli czasu, jego bezwzględności. Stąd może konstatacja:

Wtulona w piasek
stałam się sypka

Kto to wypowiada? Kobieta Klepsydra? Może tak – przecież to w niej osypuje się piasek, w tym piasek wspomnień („Po latach”):

nie pamiętam
o czym zapominałam

Oksymoroniczna fraza sugeruje poniekąd absurdalność naszego zabiegania, ciągłej krzątaniny. W istocie tak jest. Lecz cóż znaczącyby zupełna bierność wobec nihilistycznej wizji? Doświadczenie i intuicja (która w szczególnie sposób sprzyja nam jak instynkt

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codzienności (81)



Egzystencjaliści przezwyciężają nurt sokratejsko-kartezyjańsko-hegłowski znamienny dla filozofii europejskiej. Nie traktują człowieka jako funkcji rozumu. Wskazując na znaczenie przeżyć człowieka wyrażają poglądy nie tylko w formie traktatów filozoficznych, ale również w powieściach i dramatach. Miejsce rozważań o człowieku w ogóle – zajęły w egzystencjalizmie dociekania nad istnieniem konkretnego człowieka, Istnieć, to znaczy przeżywać, być w świecie. Sens nadaje światu przeżywający go człowiek. Zwrot ku empiryzmowi wyraża się w przyznaniu szczególnego znaczenia indywidualnemu doświadczeniu człowieka.

Utylitaryzm w etyce

Jeremy Bentham (1748-1831) oraz John Stuart Mili (1806-1873), filozofowie angielscy, są twórcami utylitaryzmu. Znaleźli dla etyki trwałą zasadę sprawdzalną empirycznie. Nawiązywali do poglądów Dawida Hume (1711-1776), który twierdził, że człowiek jest egoistą, więc moralne są czyny człowieka, które prowadzą do korzyści indywidualnych. Utylitaryzm formułował zasady etyczne, stwierdzając zarazem, że właśnie tak ludzie postępują.

Na podstawie obserwacji, zgodnie z głoszonym empiryzmem, Bentham doszedł do wniosku, że wszyscy ludzie podlegają przeżyciom przykrości i przyjemności. Doznania te wpływają na działania człowieka. Nie wyzwalamy się spod wpływu sił przyjemności i przykrości. Utylitaryzm Benthama pragnie przekształcić tę nieuświadomioną zależność w stan uświadomiony. Dzięki temu nastąpi spótygowanie szczęścia człowieka.

Zasada użyteczności to zarazem zasada najwyższego szczęścia. Życie zgodne z nią jest moralne. Bentham wykazuje powszechność odkrytej zasady. Stwierdza, że nawet jednostki zwyrodniałe kierują się nią. Na ogół ludzie kierują się tą zasadą nieświadomie i niekonsekwentnie. Wiele jednostek przeczy istnieniu tej zasady, mimo że nią się kieruje. Dążeniem Benthama jest, by to, co faktycznie dochodzi do głosu zostało uświadomione przez jednostki.

Najkrócej można stwierdzić, że moralność utożsamia Bentham z tym, co przyjem-

ne. To, co sprawia przykrość jest, według niego – niemoralne.

Dążenie do zaspokajania własnych przyjemności jest wyrazem egoizmu, ale dążąc do ich zaspokojenia – zarazem, mimo woli, urzeczywistnia się oczekiwania ogółu. Dobro społeczne stanowi sumę dóbr indywidualnych. Nie ma silniejszego impulsu niż motyw własnego interesu.

Według Benthama najwyższą wartość mają przyjemności dobrobytu. W sprzeczności z zasadą użyteczności – czyli zasadą najwyższego szczęścia – pozostaje wspólna własność. Z siły przeżyć przyjemności, które płyną z dobrobytu wynika, że każdy człowiek musi mieć coś na własność, żeby czuć się szczęśliwy. Natomiast pozbawienie człowieka własności, wywołuje głębokie cierpienia, ponieważ własność jest częścią nas samych. Bentham analizuje też – na przykład – przyjemność pobożności. Są one wynikiem przyjemności, którą przynosi człowiekowi wiara, że pozyskał zyczliwość Boga.

Uczucia przyjemności i przykrości każdy tak samo odczuwa, niezależnie od tego czy jest chłopem, czy księciem. Przeżycie przyjemności i przykrości wyjaśnia sens przeciwieństwa dobry – zły. Zgodnie z zasadą użyteczności ceni się cnotę dlatego, że jest ona źródłem przyjemności. Mianem użyteczności określa Bentham to, co sprzyja wytwarzaniu korzyści, czyli zysku, a więc przyjemności. Bentham nawiązuje do Epikura i ceni go za to, że odkrył źródło moralności. Zasada użyteczności jest zdaniem Benthama oczywista.

Współcześni utylitaryści podkreślają, że moralne są czyny jeżeli sprzyjają w osiąganiu upragnionego celu. Działanie jest użyteczne, jeśli przynosi stosowne skutki.

Etyka w ujęciu filozofii analitycznej

Filozofia analityczna podkreśla znaczenie języka jako narzędzia poznania filozoficznego i z tego powodu staje się on przedmiotem dociekań. Ich zdaniem część tradycyjnych problemów filozoficznych, to problemy źle postawione, a więc pozorne problemy. Są one rezultatem nieścisłego używania języka.

Trudno przeprowadzić ścisłą granicę między filozofią analityczną i neopozytywizmem. W sensie węższym filozofia analityczna, to brytyjska szkoła filozofii zainicjowana na początku XX wieku przez George Moore (1873-1958), jak również Bernarda Russella (1872-1970) i Ludwika Wittgensteina (1889-1905).

Wydane przez Moore'a dzieło „Zasady etyki” w 1903 roku wywołało dyskusję, która doprowadziła do powstania metaetyki. Moore był przeciwnikiem naturalizmu, a więc teorii etycznej w myśl której rzecz jest wartościowa z tego powodu, że jest pożądana. Powinna być pożądana dlatego, że jest wartościowa.

Według Moore błędne jest utożsamianie wartości z jej empirycznymi przejawami. Jego zdaniem wartość to cecha nie sprowadzalna do cech empirycznych. Wartość można ująć jedynie wprost aktem intuicji. Podobne stanowisko zajmował Max Scheler (1874-1928). W opozycji do błędu naturalistycznego Moore przyjmował pojęcie wartość jako kategorii autonomicznej, odrębną od świata rzeczy. Prowadzi to do dualizmu świata rzeczy i świata wartości; do przeciwstawienia opisu świata oraz ocen.

Według Moorea dobro jest pojęciem prostym. Oznacza jakość przedmiotu, której nie można zredukować do cech empirycznych tego przedmiotu. Dobro poznajemy dzięki intuicji. Zadaniem etyki jest wskazywanie przedmiotów, którym dobro przysługuje w sposób bezwzględny. Wittgenstein natomiast zakwestionował traktowanie etyki jako nauki.

Stanowisko etyczne Czeżowskiego

Tadeusz Czeżowski (1889-1981) twierdzi, że w ocenach moralnych zachodzi obiektywne rozróżnienie zła i dobra, na podobieństwo stwierdzenia, że coś istnieje, albo nie istnieje. Ocenę moralną można jego zdaniem sprawdzić i korygować. Zdaniem tego filozofa wszystko, co istnieje ma wartość, jest dobre przez to, że istnieje. Filozof ten stawia znak równania między istnieniem i wartością dodatnią oraz między nieistnieniem i wartością ujemną. Zło jest więc brakiem czegoś, co jest i jako takie jest dobre.

Najwyższą wartość T. Czeżowski przyznaje życiu. Należy w konsekwencji tego poglądu zmierzać ku rozwojowi własnej osobowości oraz pomnażać dobra służące życiu społecznemu.

T. Czeżowski podkreśla, że zasady etyczne nie powinny być pustym powtarzaniem wyczynionych hasel. Mają płynąć ze szczerego przekonania i być wyrobione mozolnie przez własny wysiłek myślowy, inspirowany także doznaniem przeciwności życiowych. Każdy człowiek powinien nadać sens i wartość swojemu życiu. Warunkiem tego jest wiara, iż są ideały, którym warto poświęcić życie. Ideałem filozof ten nazywa najwyższe dobro jakie sobie człowiek stawia jako ostateczny cel w swoim życiu. Jest to zależne od zdolności i sytuacji życiowej. Cele te są różne. Lekarz, duchowny, rolnik, zmierzają w odmiennych kierunkach, lecz wszystkie dobra do jakich dążą, można podporządkować pod ogólne pojęcie doskonałości. Najogólniejszym ideałem życiowym jest doskonalenie się w tym jak się żyje.

Zdaniem Tadeusza Czeżowskiego, są możliwe trzy postawy, które łącznie pozwalają osiągnąć harmonijną wszechstronność.

cdn.

Maria Łayrakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie

Okno i ucho

Bagażę już w bagażniku, a my już w autobusie. Przed nami Lwów, za nami Stanisławów. Po ukraińsku dziś oficjalnie Iwanofrankiwnsk. Jest czwartek, piękny, słoneczny, dwudziesty piąty dzień kwietnia, rok 2013. Do przejechania mamy 130 kilometrów. A gdy się to spełni, zaraz prosto z siodła, z marszu, z buta, z mety, w trzymiga prujemy, pędzimy, lecimy jak na skrzydłach do Lwowskiej Wojewódzkiej Biblioteki przy prospekcie Tarasa Szewczenki nr 13. Za polskich czasów ulica Akademicka, po której chodziłem, jedząc lody. Miałem na głowie bordowy, turecki fez ze złotym półksiężycem i gwiazdą. Bawiłem się jojem w kolorach białym i czerwonym, żółtym i niebieskim. Co za przypadkowy zbieg symbolicznych kolorów polskiego i ukraińskiego narodu. Moja niania, Stefa, mówiła do mnie, Andżuniu, popatrz jaki piękny kaktus, cały z czekolady stoi na wystawie, tu u Wedla. Do tej wystawy u Wedla jeszcze wrócimy, bo tam nie tylko stoją czekoladowe kaktusy z białymi, cukrowymi kolcami, ale też zwraca naszą uwagę parka czekoladowych gołębi z rozpostartymi skrzydłami, jakby się szykowała do miłostnego lotu ponad Lwowem. Z góry zawsze lepiej widać, co się dzieje na dole. Dlatego Pan Bóg mieszka w niebie. Wszystko widzi i wszystko wie, co robimy na ziemi.

W ręce trzyma połową lornetkę. Widzi nasz autobus i wszystkie dziury na drogach. Przed nami Lwów, za nami Stanisławów. Do przejechania mamy 130 kilometrów. Przed nami występ poetycki w Wojewódzkiej Bibliotece. Lwowska publiczność chce nas zobaczyć. Lwowska publiczność chce nas usłyszeć, polskich i ukraińskich poetów mówiących swój świat poezji złotym warkoczem słów przyjaźni, bojaźni i nadziei, że przyszłość naszych obu narodów rozkwitnie jak... Bagażę już w bagaż-

niku, a my już w autobusie. Przed nami Lwów, za nami Stanisławów. Do przejechania mamy 130 kilometrów...

Mieszka w niebie. W ręce trzyma połową lornetkę. Widzi nasz autobus, w którym siedzą ukraińscy i polscy poeci. Podjął decyzję zostać też poetą. I w taki to niespodziewany, nieoczekiwany i zaskakujący sposób zyskujemy nowego kolegę po piórze. Oczywiście o wiele wyżej usytuowanego niż my. On mieszka w niebie, a my na ziemi.

Bagażę już w bagażniku, a my już w autobusie. Przed nami Lwów, za nami Stanisławów. Do przejechania mamy 130 kilometrów.

W salonie mych myśli, na estradzie przy fortepianie siedzi Wiosna. Jej złote włosy jak ulał pasują do złotego warkocza słów przyjaźni, bojaźni i nadziei ukraińskich i polskich poetów. Jej błękitne oczy pasują, pasują jak ulał do błękitnego nieba, w którym mieszka nasz nowy kolega po piórze, a to historia jak z bajki, aż nie chce się wierzyć. Przy okrągłym stole siedzi filozof Pan Nietwór i jego asystent Daniel Spaniel. Wiosna uderza w klawisze fortepianu. Jedne klawisze są białe, drugie klawisze są czarne. Wybór należy do palców. Palcami rządzi melodia Henryka Warsa do słów, które ułożył Emanuel Schlechter – *Lwów jest jeden na świecie*. Bursztynowy głos Wiosny intonuje: *Niech inni sy jadą, dzie mogą, dzie chcą / do Widnia, Paryża, Londynu / a ja si zy Lwowa ni ruszym za próg / ta mamciu, ta skarz mnie Bóg.*

Bo gdzie jeszcze ludziom tak dobrze, jak tu / tylko we Lwowie! – to rubinowy baryton filozofa Pana Nietwora.

Gdzie pieśnią cię budzą i tulą do snu / tylko we Lwowie – to srebrzysty tenor Daniela Spaniela.

A ja, autor salonu mych myśli, do tego wszystkiego dodam jeszcze coś złotego, mój złoty cwikier. Bursztyn, rubin, srebro, złoto, wszystko dla przyszłej ludzkości w salonie mych myśli.

Pan radca

*Pośrodku najpiękniejszych słów
ja słyszę Lwów
Lwów, jak kilka lwów
a lew to władca
co na to radca?*

*Kładzie na nos złote cwikiery
a na stół likiery
likier zielony błogosławiony
a likier żółty i czerwony
jeden i drugi błogosławiony
a ten jak mleko zniebieszczone
ten także jest błogosławiony*

*Lwowski pan radca tajny dworu
słodkich likorów lubi dostatek
bierze do tego róży płatek
i przytulając do policzka
zawoła – wiewat mi różyczka!
i pije zdrowie w naszym Lwowie
– Wszystko od róży się zaczęło –
wygłosił radca i zdjął cwikier
a róża cyk czerwony likier*

*do kieliszeczka
– Panowie, miłość to potęga –
wygłosił radca i już sięga
po kroplę słodką*

*A tymczasem, tymczasem
czas już minął odtąd
i we wspomnieniach
jak w kieliszku
różany likier Baczewskiego
i Bartyńskiego złoty cwikier
dla potomnego*

Bursztyn, rubin, srebro, złoto, mój złoty cwikier i różany likier dla przyszłej ludzkości w salonie mych myśli. Przed nami Lwów, za nami Stanisławów. Do przejechania mamy 130 kilometrów...

Jak ten czas szybko leci. Tak niedawno polskim królem był Bolesław Chrobry. Żył w latach 967-1025 naszej ery. Tak niedawno wielkim księciem Rusi Kijowskiej był Jarosław Mądry. Żył w latach 978-1054. Jak ten czas szybko leci. Tak niedawno w Nowogródku urodził się poeta Adam Mickiewicz. Żył w latach 1798-1855. Tak niedawno w Krzemieńcu urodził się poeta Juliusz Słowacki. Żył w latach 1809-1849. Jak ten czas szybko leci. Tak niedawno Józef Piłsudski walczył o Nią i Ją tworzył, swoją i naszą Polskę. Żył w latach 1867-1935. Tak niedawno Symon Petlura walczył o swoją Ukrainę. Żył w latach 1879-1926. Tak niedawno skończyła się ludobójcza Druga Wojna Światowa trwająca od września 1939 do maja 1945. Po obaleniu faszystowskich Niemiec, rządzonych przez Adolfa Hitlera nastąpiła realizacja postanowień Jałtańskich, podjętych przez trzy zwycięskie mocarstwa: Związek Radziecki rządzony przez Józefa Stalina, Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jak mówią, w ten sposób "Baba Jaga Jałta" zmieniła granice w naszej Europie. Jak ten czas szybko leci. Nie tak dawno, my Polacy utraciliśmy kresy wschodnie. Lwów nad Pełtwią, Stryj nad Stryjem, Tarnopol nad Seretem, Borysław nad Tyśmienicą, Sambor i Koropiec nad Dniestrem a Krzemieniec nad Ikwą. „Baba Jaga Jałta” zmieniła granice w Europie. Jak ten czas szybko leci. Nie tak dawno, my, Polacy, zamieszkaliśmy nad Odrą. My lwowiacy, kresowiacy, w Opolu, Wrocławiu, Wałbrzychu, Szczecinie i w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie się odbywają międzynarodowe festiwale poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”. Bo my, poeci, nie chcemy granic dzielących ludzi i narody przeciwko sobie. My chcemy mieć czas na radość i piękno życia w złotym słońcu przyjaźni. Nie tak dawno Związek Radziecki się rozpadł – grudzień 1991 – a niezależna Ukraina powstała, żeby wolność królowała. Jak ten czas szybko leci. Jest piątek, piękny, słoneczny dwudziesty szósty dzień kwietnia, rok 2013. Za nami Lwów. Przed nami Krzemieniec. Do przejechania mamy 160 kilometrów. A gdy to się spełni... A gdy się to spełni, wysiądziemy z minibusu, którym przy-

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Ryszard Częstochowski, „Młode i stare”. Projekt graficzny: Tomasz Lebioda. Biblioteka Tematu, tom 58. Bydgoszcz 2012, s. 130.

Jacek Dudek, Homo Silesius”. Opracowanie graficzne i ilustracje: Olga Raciborska. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, s. 64.

Piotr Gajda, „Demoludy”. Nota na IV stronie okładki: Maciej Melecki. Projekt okładki: WiS Opcjon. Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego, tom 88. Instytut Mikołowski, Mikołów 2013, s. 40.

Krzysztof (Grabą) Grabowski, „Na skrzyżowaniu słów”. Wybór i posłowie: Krzysztof Gajda. Zdjęcie na IV stronie okładki: Sławomir Nakoneczny. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria 33. *Piosenki na papierze*, tom 2. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 84.

Tomasz Jamroziński, „Mężczyźni są z Warsa”. Projekt okładki: monstfur. Opracowanie graficzne: Agnieszka Kowalska-Owczarek. Projekt typograficzny: Michał Murowaniecki. Biblioteka Arterii, tom 16. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Śródmiejskie Forum Kultury, Dom Literatury, Łódź 2012, s. 50.

Lech Janerka, „Śpij Aniele mój / Bez kolacji”. Zdjęcia: Filip Zawada. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria 33. *Piosenki na papierze*, tom 1. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 60.

Grzegorz Jędrak, „Badland”. Projekt okładki M:I:R:O”N*T*E*E. Opracowanie graficzne: Agnieszka Kowalska-Owczarek. Projekt typograficzny: Michał Murowaniecki. Biblioteka Arterii, tom 17. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Śródmiejskie Forum Kultury, Dom Literatury, Łódź 2012, s. 78.

Jadwiga Malina, „Od rozbłysku”. Malarstwo Jan Stanisławski (1860-1907). Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2013, s. 72.

Jacek Napiórkowski, „Podwójne życie zegarów (1985-2010)”. Wstęp: Krzysztof Karasek. Projekt okładki: Sylwia Tulik. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2013, s. 346.

Teresa Nietyksza „Sto dwadzieścia sześć haiku”. Ilustracje Elżbieta Wodała Wydawnictwo „Miniatu- ra”, Kraków 2013, s. 80.

Ewa Parma i Anna Maria Rusinek, „Kobiety i ważki”. Opracowanie graficzne: Anna Paszkowska. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, s. 126.

Filip Zawada, „Świetne sowy”. Rysunki: Filip Zawada (okładka), Katarzyna Pietrzak-Zawada. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *poezje*, tom 90. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 76.

Janina Robak „Zuzia”, „Wspomnienia wciąż żywe”. Redakcja, zdjęcie na I stronie okładki i projekt graficzny: Andrzej Dębowski. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2013, s. 76.

Marcin Rokosz, „Od dzielenie”. Opracowanie graficzne i ilustracje: Olga Raciborska. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, s. 86.

Karol Samsel, „Dusze jednodniowe”. Opracowanie graficzne i ilustracje: Olga Raciborska. Fotografie: Beata Patrycja Klary. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, s. 86.

Marcin Sas, „Bezpowrotne wakacje Tourette’a”. Opracowanie graficzne i ilustracje: Olga Raciborska. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013, s. 62.

Cezary Sikorski, „Pięćdziesiąt cztery sonety”. Redakcja: Bogdan Zdanowicz. Opracowanie graficzne i ilustracje: Olga Raciborska. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2012, s. 118.

Juliusz Wątroba, „Kryształ”. Okładka i ilustracje: Krzysztof Dadak. Fotografia: Artur Jarczok, „Kronika Beskidzka”. Wydawca: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej, Bielsko-Biała 2013, s. 84.

PROZA

Justyna Bargielska, „Małe lisy”. Projekt okładki: Iwona Chmielewska. Projekt typograficzny: Robert Oleś / D2D.PL. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, s. 112.

Zdzisław Bistula, „Ostatnie lato”. Redakcja, zdjęcia na I i IV stronie okładki i projekt graficzny: Andrzej Dębowski. Wydanie II. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2013, s. 112.

Bora Ćosić, „Konsul w Belgradzie”. Przełożyła: Danuta Ćirlić-Straszyńska. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. Seria *Meridian*. Fundacja Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze, sztuk, kultur, narodów”, Sejny 2012, s. 334.

Rabi Dżabir, „Druzowie z Belgradu. Historia Hanny Jakuba”. Przekład i posłowie: Marcin Michalski. Na okładce Hani Zurob *Waiting #06*, 2011. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Proza*, tom 21. Biuro Literackie, Wrocław 2013, s. 228.

Mirko Kovač, „Miało w lustrze”. Przełożyła: Dorota Jovanka Ćirlić. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. Seria *Meridian*. Fundacja Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze, sztuk, kultur, narodów”, Sejny 2012, s. 418.

Eliza Moraczewska, „Jako w niebie”. Okładka: Jagoda Karłowska. Zdjęcie na okładce: Radosław Piotr Reroń. Przekład tekstu niemieckiego Iwona Ewertowska-Klaja. *Novae Res*, Wydawnictwo Innowacyjne, Gdynia 2013, s. 166.

Andrzej Muszyński, „Południe”. Projekt okładki: Agnieszka Pasińska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Tomek Gola. Projekt typograficzny: Robert Oleś/D2D.PL. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, s. 208.

Zeruya Shalev, „Co nam zostało”. Przełożyła: Anna Halbersztat i Bartosz Kocejko. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2013, s. 526.

Jan Stępień, „Zatrzymane chwile”. Wydawnictwo Ewantart, Pruszków 2013, s. 130.

Marta Syrwid, „Bogactwo”. Okładka: Agata Nowicka-Endo. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2013, s. 210.

Jerzy Żelazny, „Fatałaszi. Powieść”. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Zbigniew Janiszewski. Fotografia autora: Kazimierz Ratajczak. Wydawnictwo Feniks, Koszalin 2013, s. 258.

DRAMAT

Stanisław Grochowiak, „Lęki poranne. Dramaty”. Wybór i wstęp: Anna R. Burzyńska. Opracowanie graficzne: elvismonroe.eu Kamila Schinwelska, Marcin Gwiżdowski. Seria *Dramat polski. Reaktywacja*, tom 1. Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2012, s. 380.

Mieczysław Piotrowski, „Czerwona piłka. Dramaty”. Wybór i wstęp: Adam Wiedemann. Opracowanie graficzne ehdsmonroe.eu Kamila Schinwelska, Marcin Gwiżdowski. Seria *Dramat polski. Reaktywacja*, tom 2. Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2012, s. 534.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Bolesław Faron, „Jama Michalika. Przewodnik literacki”. Redaktor: Wojciech Mischke. Redaktor IV wydania: Iwona Dudzińska. Opracowanie graficzne: Mściwoj Olewicz. Fotografia autora na stronie 171: Andrzej Makuch. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2013, s. 172.

„Jak błędzić skutecznie. Prof. Zbigniew Mikołejko w rozmowie z Dorotą Kowalską”. Projekt okładki: Magdalena Mamajek-Mich. Opracowanie graficzne: Agnieszka Żelazko. Przygotowanie zdjęć: Małgorzata Charewicz-Mostowska. Zdjęcie na okładce: Adam Kozak/Agencja Gazeta. Agora SA, Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2013, s. 464.

Eugeniusz Kurzawa, „Andrzej K. Waśkiewicz, miejsca opuszczone”. Projekt okładki: Alicja Błażyńska. Zdjęcie na okładce: Mirosława Szott. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 220, w tym zdjęcia.

Claudio Magris, „Alfabety”. Przełożyła: Joanna Ugniewska. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. Seria *Meridian*. Fundacja Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze, sztuk, kultur, narodów”, Sejny 2012, s. 308.

Maria Makaruk, „Antoni Edward Odyniec, romantyk w zwierciadle biedermeieru”. Projekt okładki: Tomasz Gocłowski. Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2012, s. 296.

[ad]



Oko i ucho

(Dokończenie ze strony 22)

jechałszy ze Lwowa i wszyscy razem wejdziemy do Instytutu humanistyczno-pedagogicznego w Krzemieńcu na spotkanie z młodzieżą studencką, wykładowcami i władzami uczelni, aby wykonać, aby zagrać na scenie nasz poetycki koncert na białych i czarnych klawiszach słów, na srebrnych i złotych strunach wyobraźni, na biało-czerwonej i żółto-niebieskiej, sztandarowej dumie i zadumie naszych narodów.

Cała nasza ośemka, jak jeden mąż pojawiła się przed publicznością. Ukraińska poetka – Maria Lutkiewicz. Ukraiński poeta, tłumacz polskiej poezji – Aleksander Hordon. Ukraiński poeta – Oleś Diak. Ukraiński poeta – Petro Szkrabiuk. Polski poeta – Kazimierz Burnat, urodzony w Szczepanowicach nad Dunajcem, a mieszkający nad Odrą, we Wrocławiu. Polski poeta – Leszek Antoni Nowak, urodzony w Kończyskach koło Zakliczyna nad Dunajcem, a mieszkający nad Odrą, we Wrocławiu. Polski poeta – Andrzej Bartyński, urodzony we Lwowie nad Peltwią, a mieszkający nad Odrą, we Wrocławiu. I jego polska żona Krystyna, urodzona na Dolnym Śląsku, w Jarkowicach nad Srebrnym Potokiem, a mieszkającą nad Odrą, we Wrocławiu. Moja żona Krzysia, jako moja lektorka będzie czytać moje poetyckie teksty przed publicznością w Krzemieńcu. Raz ona, raz ja, albo odwrotnie. Raz ja, raz ona.

W salonie mych myśli wszyscy będziemy czytać poetyckie teksty – powiedziała bursztynowym głosem złotowłosa Wiosna. Raz ja, raz oni. Albo odwrotnie, raz oni, raz ja. Bo wszyscy mieszkamy nad Odrą we Wrocławiu, albo na całym świecie, albo w Krzemieńcu na Ukrainie, w muzeum polskiego poety Juliusza Słowackiego. Teraz uwaga! Bierzymy głęboki oddech i nogi za pas. Pędzimy galopem. Pędzimy cwałem, albo drobnym truchtem, albo leziemy, leziemy jak ślimak winniczek. Leziemy na Górę Królowej Bony. Stajemy na baczność i patrzymy w błękitne niebo, gdzie mieszka nasz nowy kolega po piórze. Ani chybi, boski poeta.

Ani chybi, boski poeta – powtórzył Daniel Spaniel i dodał. Dziękli Bogu, tacy się jeszcze zdarzają poeci. A kto spragniony i chce mu się pić po tej wyniosłej, wzniosłej wyprawie do niebiańskich sfer na Górce Bony, niechaj usiądzie przy okrągłym stole w salonie mych myśli i się napije kompotu z rumberbaru, który stoi w kryształowym dzbanie, kryształowym jak charakter naszej Wiosny.

Ani chybi, boski poeta – powtórzył za Wiosną i Danielem Spanielem, filozof Pan Nietwór. A kto spragniony jakichś słodczy, uwaga! Głęboki oddech i nogi za pas. Z naszym Autorem,

galopem do tyłu. Galopem przez czas. Do Lwowa, do Lwowa z Krzemieńca przez Poczajów, do Lwowa, do raju, na ulicę Akademicką przed sklep Wedla, gdzie na wystawie stoją czekoladowe kaktusy, a wśród kaktusów, czekoladowa parka zakochanych gołębi.

Ani chybi, boski poeta trzymając polową lornetkę w ręce wszystko widzi. Doznaje natchnienia. Odkłada lornetkę. Trwa natchnienie i powstaje nowy wiersz. Trwa natchnienie i powstaje czyjś nowy wiersz. Ja i Ty – parka gołębi.

Parka gołębi

*Byłem u niani w Doboszówce
koło Mościsk
na linii Lwów – Przemysł
w pięknej Polsce
gdzie wierzy nad strumieniem
gdzie mieszkali Nuckowsy
gdzie był pies imieniem Dobosz
Cóż za wakacje – poznanie świata
ludzi, gęsi i lasu
konna jazda na oklep
na białej klaczy niania
a ja na kasztanie
bo kochałem kasztana
stępa, truchtem i klusem
potem galopem, cwałem
pędziliśmy jednym susem
przez młodość, przez życie całe
Gdy już wracałem do Lwowa
dali mi parkę gołębi
żebym się opiekował
żebym zbudował gołębnik
Gdy idę tak wzdłuż podwórka
z wymierzonymi deszczulkami
nagle ujrzałem białe piórka
jak lecą przed oczami...
Kolana się ugięły
ktoś mnie siekierą z tyłu ciachnął
to ja na obiad zjadłem
oboje mych przyjaciół
I tak umarło wtedy
gołębie me dzieciństwa
i wszedłem w świat dorosłych
przez święństwo*

Od Autora: A kto spragniony i chce mu się pić, zapraszamy do salonu mych myśli na kompot z rumberbaru. Ciąg dalszy nastąpi.

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Muzyka, mistyka i wiersz

obronny) tworzą życiową mądrość. Poetka wie, że „czas miłości biegnie wierszem / czas rodzenia biegnie prozą”. Niczego się nie przyspieszy, nie opóźni, nie zamknie, nie wymaże. Dlatego też napisała:

*niegdą
nie wytnę wspomnień
z fotografii
bez nich
jestem naga*

(„Fotografia IV”)

Dlatego też zdystansowana, pogodzona, z dozą autoironii kontynuuje:

*Nie oszukuj już mała
nie oszukuj już ciała
i nie wmawiaj mu
że jest wspaniale*

(„Sufit”)

Poezja Alicji Tanew ma także wiele odcieni, odprysków światła. Jest w niej i realna codzienność, wciąż motywy Krakowa w Mickiewiczem na czele, jest nostalgiczny Kazimierz a tam „w kafejce można wypić filiżankę / dusznego powietrza”

Lidia Bogaczówna napisała: „Wiersze Alicji nie podlegają analizie, one są do poruszenia emocji...”; ona wciąż szuka, poznaje liście, drzewa, słońce... „a to już blisko Boga”. Tak jest, choć i emocje chcą podlegać refleksji. Ta „bliskość Boga” to już pewien panteistyczny mistycyzm; on w tej poezji się pięknie ukrywa:

*wiosna całuje
moje dreszcze deszczem
na białej ławce*

Ale i krąży gdzieś po Krakowie w pelisie niewidce wsłuchując się w ballady Białoszewskiego śpiewa szeptem modlitwę:

*Kapliczko kamienna
Panno przydrożna
Ty, co przytulasz serca i śniegi*

*Módl się za mną
bo ja jestem ta
która uwierzyła*

Jest w tej poezji wiele innych wątków, w tym jej osobisty „wątek wieczornej ciszy”; komponują się w pewną triadę, trzech M: Muzyka, Mistyka i Miłość. A z nich - najważniejsza jest miłość – jak powiada Pismo... Alicja Tanew to wszystko nam wyśpiewa!

Jan Tulik

Alicja Tanew, „Zamienię kurtkę na miłość”. Wydawnictwo AZET, Kraków 1999.

Alicja Tanew, „Zbieranie przecinków”. Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2007.

Alicja Tanew, „Kropki z innego snu”. Wydawnictwo Scena ATA, Kraków 2011.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.